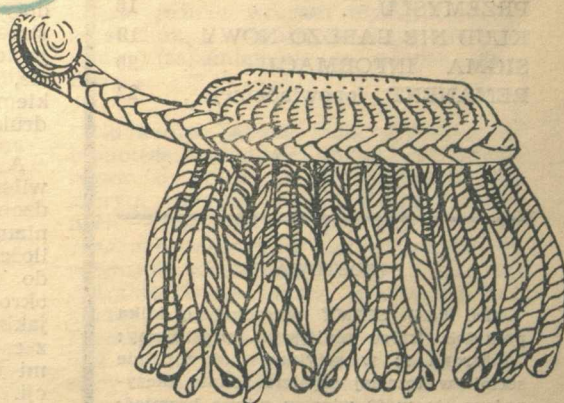
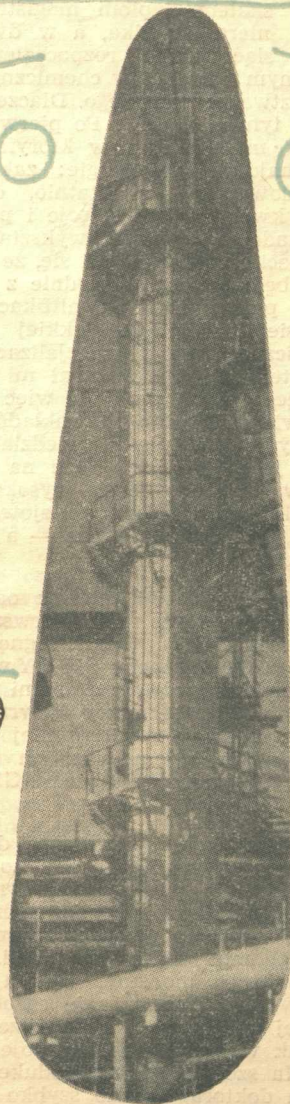
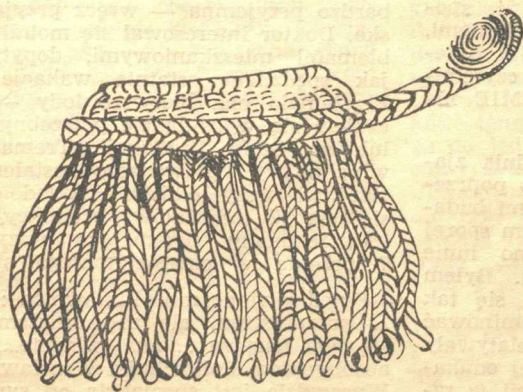




a jednak oficer przemysłu!

CZYLI DOŚWIADCZEŃ MŁODEGO INŻYNIERA GARSC MAŁA

W NUMERZE:

A JEDNAK OFICER PRZEMYSŁU	2
AKCJA: IDEOLOGIA — 71	4
UDANY POSESYJNY	
WYPOCZYNEK	6
CHEMICZNY ŚWIATEK	7
ZE STARYCH	
FOTOGRAFII	8
V LAT DKF ZMS	
POLITECHNIKI	9
ZWYCIĘŻYĆ SIEBIE	10
ROK OCHRONY STUDENTA	12
Z PRASY	12
JUŻ STAROŻYTNI	14
RZEŹBIARSKI REKONESANS	15
PO WEWNĘTRZNEJ	
STRONIE SPIRALI	16
ELEKTRONIKA BLIŻEJ	
PRZEMYSŁU	18
KLUB NIE BARDZO NOWY	19
SIGMA INFORMACJI	20
REMANENT (opowiadanie)	22

SPROSTOWANIE

Do 5(26) SIGMY wkradło się kilka pomyłek, które niniejszym prostujemy:
Strona 9: w artykule „...i zupełnie serio” w trzeciej szpalcie zdanie zaczynające się w 23 wierszu winno brzmieć: Celem tej wypowiedzi nie jest „rozprawienie się” z autorem artykułu i udowodnienie, że wszystko to o czym pisze jest wyssane z palca.

Strona 19: zamieszczone tu zdjęcie (fot. J. Chwyszczuk) przedstawia otwarcie „Nowego Pałacyka” przy ul. Ofiar Oświęcimskich.

Strona 23: Autorem zdjęcia na stronie 23 jest Jan Bachrij.

Przepraszamy — Redakcja

W wrześniu ubiegłego roku uzyskałem dyplom magistra inżyniera chemika, a w dwa miesiące później rozpocząłem pracę w jednym z zakładów chemicznych województwa poznańskiego. Dlaczego akurat w tym zakładzie? Po pierwsze: pociągało mnie miasto, w którym zakład się znajduje, po drugie: zakład ten rozbudowywał się ostatnio, otrzymał spore kwoty na inwestycje i potrzebował kadry z wyższym wykształceniem, po trzecie: wydawało mi się, że właśnie tutaj będę pracował zgodnie z uzyskanymi przeze mnie kwalifikacjami w zakresie technologii lekkiej syntezy organicznej (moja specjalizacja), po czwarte: zakład obiecywał mi sześciomiesięczny staż pracy a więc krótszy niż większość innych zakładów chemicznych, po piąte: wiedziałem, że część jego produkcji idzie na eksport, co gwarantuje przecież wysoką jakość produktu, pewne uprzywilejowanie zakładu, no i solidną pracę — a o to mi chodziło!

Dziś mija drugi miesiąc od chwili rozpoczęcia przeze mnie pierwszej w życiu, „regularnej” pracy. Pragnę podzielić się z Czytelnikami SIGMY własnymi dotychczasowymi wrażeniami i spostrzeżeniami z tej pracy — wrażeniami, jakich dotąd (a przynajmniej w okresie, gdy ja byłem wiernym czytelnikiem tego magazynu) w SIGMIE nie drukowano.

A więc: kiedy pierwszego dnia zjawiłem się w miejscu pracy, co poprzedzone zostało bardzo dokładnymi badaniami lekarskimi i wypełnieniem sporej ilości druczków, zaprowadzono mnie do gabinetu Szefa Produkcji. Byłem okropnie stremowany, czułem się tak jakby zaraz miano mnie egzaminować z całej wiedzy, w pamięci przelatywały mi jak w kinie... luki w mojej edukacji. Na szczęście Szef Produkcji (z tytułem doktora) bardzo szybko rozładował napięcie; wyraził zadowolenie, że zakład pozyskuje nowego inżyniera chemika. Przejrzał moje papiery (życiorys, podanie o pracę, całą moją korespondencję z zakładem) i powiedział, że ... całkowicie rozminąłem się z powołaniem. Zbaraniałem. Otóż mój zakład — który podpisując ze mną umowę o pracę domagał się, bym był specjalistą w zakresie technologii syntezy organicznej — w ogóle nie przeprowa-

dza syntez! Sprowadza gotowe już związki chemiczne, a na miejscu jedynie stabilizuje je, miesza i nadaje im formę wykończeniową: pakuje gotowe produkty i firmuje. Szef nie był jednak ani przerażony, ani niezadowolony z powodu braku zgodności mojej specjalizacji z pracą zakładu. Powiedział, że moja wiedza bardzo się tu przyda, że liczy, iż wniosę „nowy powiew” do zakładu. Potem padło pytanie o moje marzenia. Zrobiłem unik; dowcipni koledzy mówili mi potem, że powinienem powiedzieć: zostać Szefem Produkcji. Szef zapytał mnie, gdzie chciałbym pracować; odpowiedziałem, że najpierw pragnę zapoznać się bliżej z pracą zakładu, potem zadecyduję. Jeszcze jedno pytanie mojego rozmówcy pozwolę sobie przytoczyć i niechaj wszyscy studenci dobrze je sobie zapamiętają: „Jakie pan zna języki obce?”.

Szef produkcji zadecydował wreszcie, na jaki oddział produkcyjny mnie skieruje „Tam jest pan najbardziej potrzebny” — powiedział. „Po stażu zostanie pan mistrzem”. Ta pierwsza moja rozmowa w zakładzie — której poświeciłem tu tyle miejsca — była bardzo przyjemna — wręcz przyjacielska. Doktor interesował się moimi problemami mieszkaniowymi, dopytywał, jak spędziłem ostatnie wakacje itp. Przelamala ona pierwsze lody — poczułem się w zakładzie potrzebny, polubiłem Szefa Produkcji. Trema powróciła, gdy wprowadzony zostałem na swój pierwszy oddział (zakład dzieli się na 7 oddziałów produkcyjnych i przekonany byłem, że wszystkie 7 przejdę w okresie mojego stażu).

Przedstawiono mnie kierownicze: „Pan ... przepraszam, ale zapomniałem jak się pan nazywa ... aha, właśnie..., jest absolwentem Politechniki Wrocławskiej. Wprawdzie jest specjalistą od syntezy, ale tu się na pewno przyda. Proszę dać mu fartuch i zaznajomić z działem.” Dobry szef zniknął, ale i tu są życzliwi ludzie. Zaopiekował się mną mistrz zmianowy, który zaraz na powitanie powiedział: „Dobrze żeś pan przyszedł, bo tu taki babiniec, będzie nas teraz więcej”. Istotnie — 80% załogi stanowią kobiety. W pierwszych dniach byłem tym zaszokowany — teraz jednak czuję się dobrze z tymi „proporcjami”, ba — uważam nawet,

że stosunek taki (4 panie na jednego pana) jest najwłaściwszy, konieczny wręcz dla dobrego samopoczucia w pracy!

Trafilem na oddział w okresie, kiedy akurat przenoszono się ze starego na nowe miejsce pracy. Jeszcze część oddziału (ludzi i urządzeń) była w starym miejscu, część już pracowała w nowym. Fakt ten uważam za swoją wielką wygraną: widziałem bowiem, jak przywożono maszyny i potem je montowano, widziałem ich pierwszy rozruch, pierwsze sprawdzenie, sposób wprowadzania zmian w nowych urządzeniach, które ruszały po raz pierwszy w nowym miejscu pracy, widziałem wreszcie reakcję pracowników na „nowe”.

Przyznam, że w pierwszych dniach wiele rzeczy szokowało mnie: ze zgrozą widziałem mnóstwo urządzeń zaplanowanych i zmontowanych w nowych halach, które są tu całkowicie zbyt liczne — a przecież kosztowały! Ze zdziwieniem obserwowałem, jak nie przestrzegana jest w pełni instrukcja technologiczna. No i: przerost administracji, lawina papierków! Najgorsze, że obserwując pracę mistrzów stwierdzam, że toną oni w raportach, kartach limitowych, zeszytach zużycia surowców itp. Zaobserwowałem też ścieranie się interesów kierownictwa oddziału z technologami i brakarką. Pierwsze chce, żeby produkcja była jak największa; technolodzy znów robią wciąż jakieś nowe próby, które wstrzymują urządzenia (zabierają czas), brakarka wreszcie — nadzwyczaj „wścibska”, przyczepia się do każdego braku. Patrząc z bliska na produkcję człowiek spotyka się z problemami, o których nie miał przedtem pojęcia — przynajmniej ja. Wielokrotnie trzeba więc kombinować i co tu ukrywać ... oszukiwać — i to nie dlatego, że ktoś kradnie, czy zaniedbuje się w obowiązках, ale żeby przedrzeć się przez gąszcz paragrafów i przepisów i ... mimo wszystko wykonać plan.

Co ja robię na oddziale? Otóż przejeżdżając tutaj do pracy zabrałem tużin książek, drugie tyle zeszytów z okresu studiów i myślałem, że będę zmuszony do ich wertowania i powtarzania wiadomości. Niestety, nie. Przydała mi się jedynie książeczka Chmielewskiego „SJ — Międzynarodowy Układ Jednostek Miar” oraz słownik niemiecko-polski. Przetłumaczenie instrukcji obsługi nowo sprowadzonego z NRD wiskozymetru było moją pierwszą pracą dla zakładu. Obecnie pełnię w zasadzie obowiązki mistrza zmianowego (zakład pracuje na trzy zmiany — ja też). Od mistrza wymaga się przede wszystkim umiejętności organizacji pracy i kierowania ludźmi. Politechnika nie nauczyła mnie ani jednego, ani drugiego! Pamiętam, jak mdliło mnie wręcz, gdy słyszałem kiedyś określenia: inżynierowie — oficerowie przemysłu! A dziś widzę, że jest to wprawdzie trafne stwierdzenie. Żeby kierować ludźmi, trzeba najpierw zdobyć ich zaufanie. A można je uzyskać tylko w ten sposób, że wykaże się konkretną przydatność swojej wiedzy. I mimo że jes-

tem inżynierem chemikiem od syntez, musiałem już reperować taśmociągi, wkręcać zawory, „rozszyfrowywać” suzarki itp. A ludzie patrzyli: czy pan inżynier to potrafi? Niech nikt nie myśli, że zostając magistrem inżynierem będzie już całe życie chodził w czystym, białym kitlu — jeżeli pójdzie na produkcję, nie raz będzie musiał chwycić za młotek, czy śrubokręt, przesunąć dojrzewalnik czy tp.

Spotkałem się też kiedyś ze zdaniem, że nie ma to jak iść do przemysłu, bo tam pan inżynier to jest gość!, a np. zostając w uczelni będzie pomiatany przez wszystkich. Otóż robotnicy wcale nie padają na twarz przed młodym absolwentem szkoły wyższej. Dwa razy miałem poważne (głośne!) ścierania z robotnikami, a i zdarzyło mi się, że mnie zrugną Główny Mechanik... za nieprzestrzeżenie drogi służbowej.

Poza tym jako młody adept wiedzy zasypywany jestem pytaniami w rodzaju: czy nafta paruje?; co to są związki azoniowe a co azowe? A także pytany jestem o przepisy prawa patentowego — zdarza się nawet, że robotnicy zwracają się do mnie: „Pan magister nam powie, jak się mówi: kawalerzy czy kawalerowie?”; „Czy to prawda, że X zarabia 80 tys. miesięcznie?” — gdzie X oznacza znanego działacza państwowego. Tu w halach produkcyjnych całkiem inaczej patrzę na takie przedmioty wykładane na Politechnice jak: „Nauka o pracy”, czy „Ekonomika zakładu”. Wiedza zdobyta w czasie studiów przydaje się na co dzień.

Niech żaden student nie przypuszcza, że egzamin dyplomowy to koniec nerwów, tremy i niepewności egzaminacyjnej. Pocilem się jak przysłowiowa mysz, kiedy pewnego razu na popołudniowej zmianie sam jeden musiałem nastawić maszynę, co robiłem po raz pierwszy — czas leciał, produkcja (eksportowa) stała, a cztery robotnice wpatrywały się we mnie z oczekiwaniem, ich wzrok pytał: nastawi, czy nie nastawi? ile czasu na to mu potrzeba? Mogę zapewnić Was, że to był prawdziwy egzamin!

Pisałem już, że zadanie moje polega głównie na organizowaniu pracy i kierowaniu ludźmi. Nie ułatwia tego młody wygląd, a w odpowiedzi na zalecenia, żeby to czy owó robił tak a nie inaczej (chodzi np. o utrzymywaną w kotle temperaturę, ilości produktu brane do jednorazowego płukania czy nawet rysowanie wykresów) często słyszę: „Teoretycznie to tak jest, ale praktycznie robi się inaczej. Panie, ja tu już pracuję 15 lat!” Praca mistrza zmianowego polega też na pilnowaniu ludzi i to jest najbardziej nieprzyjemne.

To prawda, że kierowania ludźmi i organizacji pracy Politechnika mnie nie uczyła. Osobiście uważam, że tego w salach wykładowych nauczyć nie można. Trzeba przejść samemu tę praktykę na oddziale produkcyjnym i im wcześniej młody inżynier tam trafi, tym lepiej dla niego. Pamiętam wiele uwag i wskazówek, którymi w formie prze-

rywników i dygresji na wykładach raczył nas zawsze jeden z Profesorów. Jakże one były trafne i pouczające! Oto konkretny przykład: Profesor ów niejednokrotnie mawiał, że młodemu (zapałonemu) inżynierowi podsuwa się do rozwiązywania pewien problem, na którym już wielu żeby zjadło, sugerując, że jako pamiętający jeszcze wiele książkowej wiedzy rozwiąże go na pewno. Do mnie też powiedział tak kiedyś jeden ze zwierzchników i postawił zadanie, popierając je słowami: „Trzeba tylko poszukać po książkach, a panu świeżo po studiach to przyjdzie łatwiej”. Pomny jednak wspomnianych wyżej „nauk” popytałem się najpierw, jak było dotychczas, czy ktoś już nad tym pracował — i co się okazało: od wielu lat już się nad tym pracuje w zakładzie, ba — Holendrzy, którzy opatentowali całą tę produkcję, niczego lepszego nie wymyślili, a ja miałem sam, w pojedynkę, i to w przeciągu kilku dni — rozwiązać problem „książkowo”. To tylko jeden z przykładów.

Po miesiącu pracy otrzymałem plan stażu, z którego wynikało, że nie zostanie jednak skierowany na żaden z innych oddziałów produkcyjnych, przejdę natomiast w okresie stażu praktykę w komórce bhp, praktykę w księgowości oraz praktykę w dziale Szefa Produkcji w zakresie dokumentacji, instrukcji technologicznych i ruchowych.

Dziś po dwóch miesiącach wydaje mi się, że załoga polubiła mnie i nie przynoszę chyba wstydu Politechnice Wrocławskiej. Stwierdzam, że łatwiej przychodzi kierowanie kobietami niż mężczyznami — a zawsze spotykałem się w życiu z odwrotnym zdaniem. Zauważyłem też, że znacznie pewniej się czuję w laboratorium oddziałowym niż na hali produkcyjnej, gdyż Politechnika o wiele lepiej przygotowała mnie do pracy w laboratorium niż wśród urządzeń i maszyn produkcyjnych. Może dlatego, że jestem specjalistą od syntez. Zasatanawiam się, dlaczego chcieli właśnie faceta od syntez, kiedy tu raczej właściwy byłby chyba absolwent inżynierii chemicznej? Wiem też, że pozostając tutaj na stanowisku mistrza zmianowego stracę prawie całkowicie kontakt z chemią. Oczywiście, można tu osiągnąć sukcesy w pracy i poczuć się bardzo potrzebnym w zakładzie. Często jednak wracam myślą do czasu studiów i ... żałuję, że nigdy nie powrócę (zapamiętajcie to zdanie, studenci!).

Na koniec jeszcze mała dygresja: w bibliotece zakładowej znalazłem „Informator o przemyśle chemicznym”, w którym zawarto wiele cennych, ogólnych wiadomości o prawach i obowiązkach inżynierów zatrudnionych w przemyśle chemicznym, spis i krótką charakterystykę prawie wszystkich zakładów chemicznych w naszym kraju. Dlaczego czyniąc takim nie dysponował — przynajmniej jeszcze kilka miesięcy temu — pełnomocnik do spraw zatrudnienia w Politechnice?

Z.S.
(nazwisko i adres znane Redakcji)



AKCJA: IDEOLOGIA - 71

Instytucja tzw. obozów szkoleniowo-wypoczynkowych jest ostatnio bardzo popularna szczególnie w przerwach międzysemestralnych. Równie popularne są złe (może to „poza” studentów) opinie o nich. Bo co się powszechnie sądzi o takich obozach? Primo — że przymiotnik „szkoleniowy” jest tu najczęściej zwykłą pomyłką, secundo — sądzi się, że są robione tylko po to, aby gdzieś wydać przeznaczone na nie pieniądze, tertio — że jedyne wspomnienia, jakie pozostawiają u uczestników mają charakter kacowo-erotyczny. Wszystkie te opinie krążą jak czarne kruki między studentami i co najgorsze — zyskują posłuch wśród żądnych sensacji i krytycznych opinii osób. Tak się złożyło, że zostałem zaproszony właśnie na obóz szkoleniowo-wypoczynkowy do Górzynia, zorganizowany przez Zarząd Uczelniany ZMS Politechniki Wrocławskiej. I jedno co mogę napisać: obóz ten okazał się wielkim zaprzeczeniem przytoczonych powyżej opinii.

Został zorganizowany w ramach ogólnopolskiej akcji prowadzonej przez Wydział Młodzieży Studenckiej Zarządu Głównego ZMS i nazwanej — „Ideologia 71”. Studenckie środowisko Wrocławia, zrzeszone w ZMS, wybrało na swoje zgrupowanie trzy miejscowości w Kotlinie Jeleniogórskiej; Górzyniec przypadł studentom Politechniki. Na obozie tym, który trwał od 7.II do 14.II, przebywało około 180 studentów tworzących aktyw ZMS naszej Uczelni. Jak poinformował mnie w rozmowie komendant obozu, popularny działacz ZU ZMS, tow. Lechosław Składek, obóz Politechniki jako jedyny został dofinansowany przez swoją Uczelnię (reszta była finansowana przez Zarząd Wojewódzki ZMS). Dowiedziałem się również, że na obóz Politechniki zaproszono 19 osób z zagranicy, z czego — niestety — przyjechało tylko 6: dwie studentki architektury z Nantes (Francja), dwóch studentów z Rostocku (NRD) i dwoje z Budapesztu. Na obóz zostali również zaproszeni byli przewodniczący ZU ZMS.

Przeglądając program szkolenia dało się łatwo zauważyć, że jest on bogaty i atrakcyjny, szczególnie dzięki zaplanowanym spotkaniom z ciekawymi ludźmi ze świata gospodarki i polityki, którzy niemal codziennie przyjeżdżali do Górzynia. Zasadą jednak kierowników obozu było nieprzekroczenie limitu 4 godz. dziennie przeznaczonych na szkolenie. Jeżeli bowiem zdarzało się, że spotkanie zamiast 2 trwało 4 godz. to było to efektem rozpetanej (często bardzo ostrej) dyskusji między prelegentem a studentami.

A teraz w końcu uściślijmy takie pojęcia jak: „szkolenie”, „zajęcia szkoleniowe”, które są przez gros osób błędnie interpretowane. Mechanizm tych interpretacji jest prosty: szkolenie to

szkoła, szkoła to nauka, nauka to ..., no sami już wiecie, że czego jak czego, ale okazji do nauki to nam nikt nie skąpi. Więc niby po co to całe szkole-

się wiele, chociaż często pozostaje to w jego podświadomości, bo nauka odbywa się przede wszystkim na drodze czystej dyskusji, wzajemnego przekonywania się, przedkładania swoich racji, krytycznego i uzasadnionego spojrzenia na wiele problemów, wspólnych prób obiektywnej oceny zjawisk zachodzących w naszym świecie et cetera.

Tak się złożyło, że akcja obozów „Ideologia 71” zbiegła się z VIII Plenum KC PZPR; jednocześnie bardzo świeże były echa ostatnich przemian politycznych w Polsce. Dlatego nie zdroszczę prelegentom przyjeżdżającym w tym czasie na studenckie obozy ZMS. W Górzyniu spotkania z takimi ludźmi jak red. Keller z „Polityki”, wiceprzewodniczący WRN — Zakrzewski — przedłużały się o kilka godzin. Studenti, aktywiści Uczelnianej Organizacji ZMS, zadawali szczerze, otwarte pytania, dyskutowali, oceniali. Otwarcie krytykowali takie sprawy jak zła sytuacja mieszkaniowa na Dolnym Śląsku, niski stopień nasycenia kadry z wyższym wykształceniem a jednocześnie trudności z zatrudnieniem absolwentów Politechniki itd. Pytano również o sprawy polityki, o charakter przemian, o koncepcje ekonomiczne naszego kierownictwa, o Gdańsk i Wybrzeże i o wiele innych spraw, o których nie tak łatwo było rozmawiać 3 miesiące temu.

Pod koniec obozu przyjechał do Górzynia JM Rektor Politechniki Wrocławskiej, prof. dr inż. Tadeusz Porębski, który jako zastępca członka KC PZPR uczestniczył w VIII Plenum. Spotkanie trwało bardzo długo. W pierwszej części mówiono o sprawach polityki i ekonomiki kraju. W wypełnionej po brzegi sali znów zaczęły się pytania, rozgorzała dyskusja. Mówiono o ludziach, którzy popełniali tragiczne w skutkach błędy, o tych, co te błędy będą naprawiać, o tym, co już obiecano zmienić, co się jeszcze zmienić powinno. Podczas spotkania także nie było spraw drażliwych, nietylkalnych. Panowała wszechwładnie atmosfera szczerości i otwartego reprezentowania swojego zdania. W drugiej części spotkania JM Rektor mówił o sprawach dydaktyki i wielu eksperymentach przeprowadzonych w tym okresie w naszej Uczelni.

nie? Właśnie po to, by odpocząć od nauki w sensie akademickim i jednocześnie wielu rzeczy się nauczyć. Nie! To nie jest paradoks! Tutaj każdy uczy

Pod koniec obozu przyjechał do Górzynia JM Rektor Politechniki Wrocławskiej, prof. dr inż. Tadeusz Porębski.

Fot. J. Samborski



Na spotkaniu z dyrektorem Pionu do spraw Studenckich Tadeuszem Penkalą, studenci rozmawiali z kolei o problemach socjalno-bytowych.

Oprócz wielu ciekawych spotkań i dyskusji, odbywających się w ramach szkolenia, organizatorzy obozu w Górzycu przewidzieli bogaty program umożliwiający wypoczynek. „Nawalila” tylko zupełnie pogoda. Przez cały tydzień nie było odrobiny śniegu. Przy dobrej widoczności można było go podziwiać na wysokich stokach dalekiej Śnieżki. Odpadły więc definitywnie wszystkie atrakcje białego szaleństwa, które miały być gwoździem programu. Mimo jednak tak poważnego mankamentu uczestnicy wcale się nie nudzili. Zapanowała powszechnie psychoza brydża i bilarda, odbywały się nawet zawody w tym zakresie. Jeden z wieczorów umilił nam DKF ZMS Politechnika, prezentując film „Między linami ringu”.

Został ponadto zorganizowany międzyczelniany zjazd na Chojnik, skąd po paru godzinach zabaw i śpiewów, skromnych pieczonych kiełbasek na ognisku, odbył się powrót z pochodniami. Miało miejsce nawet tradycyjne studenckie święto „Margula” — czyli wieczór wspomnień z grzańcem. W ciągu 7 dni obozu „zaliczono” kilka studenckich ubawów.

Jak więc widać — bawiono się dużo i wesoło, dodając do tego codziennie i ciągle traktowane humorystycznie nagany pod adresem tych, co ignorowali gimnastykę poranną; jak się to mówi — „ubaw był po pachy”. Nawet

zapiakana zima nie potrafiła zepsuć uczestnikom dobrego humoru.

W konkluzji tych kilku uwag na temat obozu „Ideologia — 71” w Górzycu, trzeba stwierdzić, że był to rzeczywiście autentyczny obóz szkoleniowo-wypoczynkowy, którego program okazał się w pełni adekwatny do nazwy. Bo przecież dzięki odpowiedniemu pokierowaniu programem obóz nie był dla studentów biernym wypoczynkiem i jednocześnie wcale nie był przedłużeniem nauki. To wypośrodkowanie jest bardzo trudne, ale — chyba się udało. Korzyści natomiast, jakie odnieśli uczestnicy, są duże. Oprócz tego, że wypoczęli, przywieźli jeszcze bogaty zasób wiedzy politycznej i społecznej, oparty na rozmowach i dyskusjach z ludźmi z wyższych władz partyjnych i państwowych. Zważywszy, że uczestnikami obozu byli przede wszystkim działacze ZW i ZI ZMS wszystkich wydziałów Politechniki Wrocławskiej, można się spodziewać, że nie raz korzystają z nabytych tu doświadczeń w swojej organizacyjnej pracy. I jeszcze uwaga, której nie sposób pominąć. Wiedzano powszechnie, jak popularna jest wśród studentów szczerza, bezkompromisowa dyskusja polityczna. Mówi się o nas, że mamy „zapalone głowy” do polityki. I to chyba prawda, ale takie jest prawo młodości. Jedno jest pewne: żadne chyba środowisko społeczne nie jest tak uczulone na demagogię polityczną jak środowisko studenckie. I bardzo dobrze się stało, że tę prawdę znali wszyscy prelegenci przyjeżdżający na obóz. Prowadzili przecież otwarte dyskusje; jest to jedy-

na bowiem droga, by zdobyć sobie środowisko studenckie dla idei politycznych i ekonomicznych, których urzeczywistnienie będzie w dużej mierze zależało od wysoko kwalifikowanej kadry.

TOMASZ WIELICKI

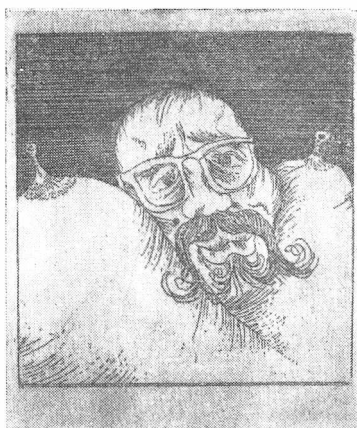
V LAT DKF — ZMS POLITECHNIKA

dokończenie ze str. 9

dowisku politechnicznym jest szczególnie ważna, ale i szczególnie trudna. Ważna — przede wszystkim dlatego, że nie gdzie indziej, ale właśnie tu, w tym środowisku, istnieje najpoważniejsza groźba zupełnego odcięcia się ludzi od wszelkich spraw związanych ze sztuką, groźba zamknięcia się w gąszczu problemów własnej specjalizacji, które pochłaniają gros zdolności intelektualnych człowieka i jego czasu.

5 lat życia klubu to mało jak na historię i jednocześnie dużo jak na to co zostało zrobione. I właśnie ten ogrom pracy, jaki został włożony w edukację studenckiej publiczności zapewnia DKF-owi trwałe i ważne miejsce w życiu naszej Uczelni. Na uroczystości obchodów X-lecia DKF ZMS „Politechnika” składano działaczom klubu życzenia dalszej tak owocnej działalności i jeszcze większej ilości sukcesów.

TOMEK WIELICKI



Z wieloletniej i bogatej w formy działalności plastycznej zna go niemal cały studencki Wrocław. Jest to twórczość tak charakterystyczna, że trudno pomylić jej autora. A przy tym niezwykle intensywna, choć Jan Sawka studiuje równolegle architekturę i grafikę w PWSSP.

A oto co sam mówi o sobie:

„Urodziłem się w 1946 roku u stóp haidy. W 1960 ukończyłem szkołę podstawową, później bezskutecznie usiłowałem skończyć się w innych instytucjach.

Ekstribrysy wykonuję techniką akwaforty, często w kilku kolorach. Poza tym uprawiam jeszcze kilka innych rzeczy”.

JJO



Udany posesyjny wypoczynek

Bardzo interesująco przebiegała w tym roku akcja obozów zimowych zorganizowana przez RU ZSP Politechniki Wrocławskiej oraz RO ZSP środowiska wrocławskiego. Większość z obozów zlokalizowano w Kotlinie Kłodzkiej i Jeleniogórskiej, które należą niewątpliwie do najpiękniejszych zakątków naszego kraju. Program obozów — poza zasłużonym wypoczynkiem po sesji zimowej — pozwalał na rozwijanie własnych zainteresowań uczestników, pogłębianie wiedzy społeczno-politycznej oraz podnoszenie sprawności fizycznej. W dniach od 9—15 stycznia RU ZSP zorganizowała w Jagniątkowie obóz ZIMOWEJ SZKOŁY AKTYWU stanowiący kontynuację Letniej Szkoły Aktywu — 70. W obozie uczestniczył Komitet Wykonawczy RU ZSP, pełnomocnicy RU ZSP do spraw rad instytucyjnych, przewodniczący i wiceprzewodniczący RI oraz sekretarze komisji RU.

Obóz w Jagniątkowie miał charakter szkoleniowo-wypoczynkowy. Organizowane liczne spotkania mające na celu zapoznanie szerokiego aktywu ZSP z aktualną sytuacją polityczną i gospodarczą kraju, dyskusje na temat nowego programu dydaktycznego w Politechnice Wrocławskiej oraz nowych form działania ZSP w zreorganizowanej strukturze organizacyjnej.

Obóz w Jagniątkowie odwiedził Jego Magnificencja Rektor, prof. dr inż. Tadeusz Porębski, który omówił i przedyskutował z uczestnikami obozu uchwały VIII Plenum KC PZPR. Ponadto odbywały się liczne seminaria wewnątrzorganizacyjne prowadzone przez członków Komitetu Wykonawczego ZSP.

Uczestnicy obozu narzekali na brak śniegu, ale niemalże wiosenna pogoda sprzyjała w odbywaniu pieszych wycieczek w góry.

Niebawą atrakcją stanowił Bal Gałganiarzy, podczas którego krytyka literacka jednomyślnie przyznała tytuł „najlepszego gałgana” Wojtkowi H.O., inne zaszczytne gałganiarskie tytuły wywalczyli tacy weterani ZSP jak Kazimierz Cz., czy Janusz M.

* * *

Aktyw turystyczny Politechniki Wrocławskiej spędzał przerwę międzysemestralną w schronisku młodzieżowym „Wojtek” w Szklarskiej Porębie. Obóz liczył 70 osób i trwał od 8 do 14 stycznia. Miał on charakter wypoczynkowo-szkoleniowy. Zwolennicy białego szaleństwa planowali jazdę na nartach na Hali Szrenickiej; niestety — brak śniegu zniweczył ich ambitne plany. Wycieczki piesze — głównie Szlakiem Przyjaźni, wieczory piosenki rajdowej oraz dyskusje na tematy działalności turystyczno-sportowej wypełniały czas naszym turystom.

* * *

W Otmuchowie, od 9-15 trwał obóz zorganizowany przez Komisję Kultury RO ZSP. Tutaj odpoczywał nasz „Gest”, Chór oraz artystyczne zespoły studen-

kie. Natomiast w Polanicy zażywali świeżego górskiego powietrza aktorzy studenckiego teatru „Persona”.

* * *

W dniach od 6-15 w Lewinie Kłodzkim k/Kudowy RO ZSP zorganizowała obóz Pionu Informacyjnego, oraz działaczy Komisji Zagranicznych i studentów zagranicznych. Obóz miał charakter szkoleniowo-wypoczynkowy. Celem jego była integracja wszystkich agentów studenckich środków masowego przekazu, bowiem uczestnicy obozu — to słuchacze Studenckiej Wszechnicy Dziennikarskiej, działacze Akademickiego Studia Radiowego, członkowie Studenckiej Agencji Fotograficznej i Studenckiej Agencji Telewizyjnej. Liczne spotkania z redaktorami prasy, radia i telewizji pozwoliły młodym adeptom studenckiego pionu informacyjnego na pogłębienie wiedzy zdobytej podczas letnich obozów oraz roboczych spotkań we Wrocławiu. Studencką Wszechnicą Dziennikarską opiekował się na obozie redaktor „Słowa Polskiego”, autor popularnego „Bigosu”, Michał Żywień. Poza tym w ramach seminarium magisterskiego z teorii prasoznawstwa prowadził

cykl spotkań doc. Aleksander Bereza z Instytutu Języka Polskiego Uniwersytetu Wrocławskiego. Ponieważ uczestnicy obozu żywo interesowali się aktualnymi problemami kraju, zaprosili do Lewina sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR we Wrocławiu — Ryszarda Rafajłowicza. Pytania kierowane do tow. Rafajłowicza dotyczyły przede wszystkim wydarzeń grudniowych oraz uchwał VII Plenum KC PZPR. W swej wypowiedzi tow. Rafajłowicz poinformował również słuchaczy o planach rozwoju wrocławskiego ośrodka naukowego oraz bazy socjalnej i kadrowej. W przyszłej pięciolatce planuje się wzrost ilości DS-ów oraz stołówek studenckich. Mówiono również o konieczności wydawania środowiskowego pisma studenckiego we Wrocławiu.

Do bardzo ciekawych należy również zaliczyć spotkanie z kierownikiem artystycznym tygodnika „Perspektywy” — Aleksandrem Lenkiem oraz przedstawicielami wrocławskiego ośrodka RSW-Prasa, dyrektorem Tepli i dyrektorem Kawalcem.

W Lewinie gościliśmy także znanego wszystkim satyryka, Andrzeja Waligórskiego, który jest głównym dostawcą

Spotkanie z A. Waligórskim, red. red. Tepli i Kawalcem.

Fot. E. Martyniuk





Chief i „nimfy” dziennikarskie

Fot. B. Prusak

tekstów dla wrocławskiego kabaretu „Dreptak”. Poza tym Andrzej Waligórski — to również autor tekstów dla „Podwieczorku przy mikrofonie”. Wynikiem współpracy z Tadeuszem Chylą była znana piosenka p.t. „Cysorz”. Z okazji srebrnego jubileuszu „Słowa Polskiego” Andrzej Waligórski zadedykował red. Michałowi Żywieniowi, znanemu skądinąd wrogowi nikotyny, następującą fraszkę:

„Wszyscy dziwią się w redakcji, co tak dymi w ubikacji

A to wsparty o futrynę, Michał niszczy nikotynę”

Na poczekaniu wymyślił również inną fraszkę na Żywienia:

„W przyrodzie istnieje różne stany skupień

Dotychczas był „Żywień”, a teraz jest „trupień”.

Młodym adeptom dziennikarstwa dużo cennych rad i wskazówek udzieliło również kierownictwo miesięcznika „Student” podczas swojej wizyty w Lewinie.

Poza spotkaniami członkowie agencji fotograficznej, radiowej i prasowej często udawali się w teren celem zebrania materiałów, które zamieszczone zostaną w kolumnie studenckiej przy „Gazecie Robotniczej” i innych wrocławskich dziennikach. Członkowie ASR-u zaprezentują swoim słuchaczom rewelacyjne plotki o Violetcie Villas.

Uczestnicy obozu w Lewinie również narzekali na brak śniegu, bowiem nie wykorzystali należycie przywiezionego z sobą sprzętu narciarskiego, tym bardziej, że zamiast planowanego kuligu z pochodniami odbył się... marsz nocny z pochodniami i z piosenką. Gwoździem programów rozrywkowych były słynne „Ratajczak Showy”, organizowane przez niezmordowanych przedstawicieli ASR-u. Odzwierciedleniem życia obozowego i niektórych „niespodzianek” komendatury obozu (gimnastyka poranna) była gazetka, na łamach której produkowali się członkowie Wszechnicy Dziennikarskiej.

Ogólnie — udało nam się tegoroczny posesyjny oddech. Program obozów, ich atmosfera przyczyniły się do tego, że nasz wypoczynek był miły a wspomnienia niezatarte.

ANETA SZATAN

„Chemiczny świątek”

Miłośnicy dobrego kina, którzy 18 stycznia b.r. wybrali się do klubu w T-4 na angielski film „Wzgórze”, trafili też nieoczekiwanie na premierę „Chemicznego świątku”. Ten krótki, bo zaledwie 10-minutowy obraz z życia studentów, jest ewenementem na terenie naszej Uczelni. Został zrealizowany przez grupę działaczy ZSP z Wydziału Chemii (nie związanych z DKF) o nazwie „Zespół Realizatorów Filmowych O”.

Inspiracją dla twórców była uroczystość rozdania dyplomów absolwentom tego wydziału, opuszczającym w grudniu ubiegłego roku mury Uczelni. Wtedy to właśnie została przedstawiona pierwotna postać filmu, jeszcze bez podkładu muzycznego. Film w tym uroczystym dniu miał jeszcze raz przypomnieć tych, z którymi przez 5 lat studiów się spotykali i którzy ich wtajemniczali w arkana chemii.

W krótkich wywiadach i mikrosencjach ujrzeli widzowie kadrę naukową, pracowników dziekanatu i studentów w codziennej pracy. Wbrew pozorom film nie był pasmem suchych wywiadów o sprawach interesujących tylko wąski krąg specjalistów, ale mozaiką odpowiedzi na dowcipne pytania. Widzowie przyjęli propozycję śmiechem, co stanowi najlepszy dowód, że film jest udanym eksperymentem. Zasluga to scenariusza i realizatorów, którzy włożyli w swą pracę dużo serca i jeszcze więcej wysiłku. Wymienić należy tu: J. Maćkowiaka — pomysłodawcę i organizatora przedsięwzięcia, O. Zakowicza — scenografa, reżysera, montażystę i dobrego ducha zespołu, K. Barcickiego i J. Multarzyńskiego — operatorów, R. Gancarza — podkład muzyczny i udźwiękowienie, H. Galinę — kamerzystę, R. Gajka — narratora (świetny głos)!

Kłopotów w czasie kręcenia filmu było mnóstwo. Sam pomysł wypłynął późno i kilkanaście dni czasu narzucało szalone tempo pracy. Piętrzyły się kłopoty, nie tylko finansowe (pomoc ZSP), ale przede wszystkim techniczne, które zostały jakoś przezwyciężone dzięki Zakładowi Fototechniki przy Instytucie Chemii Organicznej i Fizycznej. Zakład dostarczył właściwie cały potrzebny sprzęt i umożliwił wywołanie taśmy. Po montażu film został udźwiękowiony przy wykorzystaniu taśmy magnetofonowej a nie ścieżki dźwiękowej (brak sprzętu). Do dźwięku można też mieć najwięcej zastrzeżeń. Ale trzeba tu patrzeć z dużą tolerancją i przyzwyczajeniem oka; warunki realizacji pierwszego filmu zespołu były więcej niż trudne. W części filmu za podkład muzyczny wykorzystano piosenkę „W studenckim świątku” wykonywaną przez Andrzeja Stępnia (też studenta Chemii), laureata VIII Uczelnianych Eliminacji Piosenki Studenckiej.

Reasumując — początki są zawsze trudne, a start jest bardzo dobry. Oby tak dalej.

ANDRZEJ MALESZKA

2 maja 1945 r. dwaj oficerowie Armii Radzieckiej przemierzali pieszo zagruzowane ulice płonącego Wrocławia, usiłując dotrzeć do gmachu Wyższej Szkoły Technicznej (obecnej Politechniki). Rozkaz brzmiał krótko: odnaleźć i zabezpieczyć budynki Wyższej Szkoły Technicznej wraz z całym znajdującym się w niej wyposażeniem. Jednym z nich był młody podówczas pracownik naukowy Moskwy, mjr Anatolij Nikołajewicz Minkiewicz — obecnie profesor doktor nauk technicznych, inżynier, kierownik Katedry Technologii Metali Moskiewskiego Instytutu Transportu, drugi — to Oleg Pietrowicz Jelutin — obecnie kandydat nauk technicznych, inżynier, kierownik laboratorium w centralnym naukowo-badawczym Instytucie Hutnictwa w Moskwie.

Prof. Anatolij Nikołajewicz Minkiewicz zaproszony został na uroczystości związane z obchodami XXV-lecia Politechniki Wrocławskiej. Z tej okazji przypominał nam wrażenia z tamtych dni.

— Całe pałace się wówczas miasto, do którego przywieziono nas z Brzegu i wysadzono w dzielnicy „Krzyki”, przygotowane było do walk ulicznych. Wszędzie gruz i barykady. Do gmachów Uczelni dotarliśmy z trudem. Miałem przy sobie znaleziony aparat fotograficzny, dzięki któremu utrwalilem obraz tamtych dni; proszę zobaczyć — oto zdjęcia, poszarzałe i nieostre, ale jakże wymowne. Zabrałem je jadąc jako gość do Wrocławia, gdyż sądziłem że stanowią one jednak dokument (fot. 1).

Na ulicach miasta nie było żywej duszy, nikt nie potrafił nam udzielić informacji i wskazać poszukiwane obiekty. Dopiero po dłuższym błakaniu się po ulicach, a raczej gruzowiskach, spotkaliśmy jadącego na rowerze Niemca, który z wielkim przerażeniem usiłował nam wytłumaczyć, że szuka zaginionych rodziców. Po dłuższej rozmowie okazało się, że zna doskonale Wrocław, toteż służył nam w dalszej wędrówce za przewodnika. Dotarliśmy poprzez Most Grunwaldzki nad wybrzeże Odry. Na szczęście gmach Uczelni (obecny Gmach Główny) był cały; wszystkie okna były jedynie powybijane oraz zerwany kawał dachu.

Pierwsza rzecz — to ochrona i zabezpieczenie, toteż przy pomocy ludzi mieszkających w pobliżu, bądź na terenie Uczelni (starzy pracownicy), zaciągnęliśmy strażę ochronne. Oczywiście z miejscową ludnością rozliczaliśmy się jako wojskowi za pomocą żywności.

Po paru dniach przysłano nam kilku żołnierzy i wtedy to przystąpiliśmy do wynoszenia amunicji dla której piwnice i parter gmachu hutniczego stanowiły magazyny.

W tym to gmachu na I piętrze urządziliśmy swoją kwaterę (fot. 2 i 3) — proszę zobaczyć, jak wytwornie.

Dopiero po miesiącu od naszego przyścia to znaczy w początkach czerwca, przyjechała z Warszawy pierwsza delegacja polskich naukowców z prof. Dionizym Smoleńskim na czele i im to przekazaliśmy pisemnie zabezpieczone gmachy Uczelni.

— A jakie teraz, po 25 latach, zrobił na Panu wrażenie Wrocław i Politechnika?

— Przyjemnie patrzeć, jak odrodziło się i rozbudowało miasto i jego Uczelnia. Uważam, że jest ono dużym skupiskiem intelektualistów i młodzieży, o czym miałem okazję się przekonać

Ze starych fotografii



Fot. 1

NIKOLAJEWICZOWI MINKIEWICZOWI z Moskwy. Odznaczony jest byłym oficerem Armii Radzieckiej, który w pierwszych dniach wyzwolenia naszego miasta zabezpieczał budynki Politechniki. Aktu dekoracji dokonał w czasie spotkania z gościem przewodniczącym Prez. RN. m. Wrocławia Stanisław Pańnek.

(przedruk za „Słowem Polskim”).

uczestnicząc w uroczystościach XXV-lecia Nauki Polskiej we Wrocławiu.

Rozmawiała: STANISŁAWA SZULC
Były oficer Armii Radzieckiej
Budowniczym Wrocławia

Z okazji uroczystości 25-lecia nauki polskiej we Wrocławiu, Prezydium Rady Narodowej M. Wrocławia nadało odznakę Budowniczego Wrocławia profesorowi ANATOLEMU

Fot. 2



Fot. 3



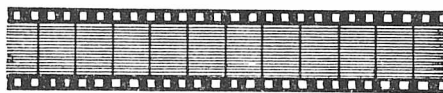
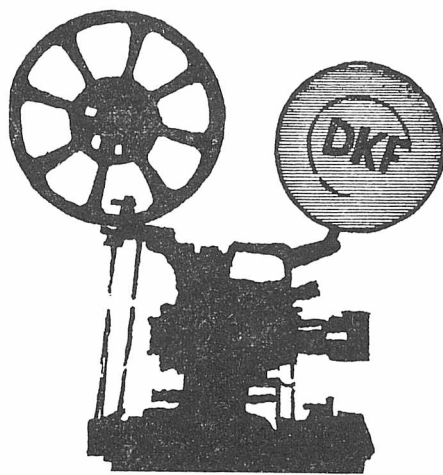
Nie przez przypadek używam tu tego określenia publiczności dyskusyjnych klubów filmowych. Jest bowiem w tym określeniu coś, co bardzo wyraźnie i realnie pokazuje jej specyficzne miejsce wśród sympatyków kina w ogóle. Miejsce określone przez nieprzeciętny poziom wymagań, jakie ta publiczność ma w stosunku do twórcy sztuki filmowej i — vice versa — ponadprzeciętne zaangażowanie intelektualne, jakiego wymagają od tej publiczności twórcy awangardy filmowej. Awangardą publiczności genialnej określił DKF-y znany krytyk i historyk kina — dr Jerzy Płażewski. I chyba nie ma w tym zbyt wielkiej przesady. Publiczność dyskusyjnych klubów filmowych i sama instytucja DKF jest awangardowa zarówno w sensie jej specyficznego i oryginalnego miejsca w życiu kulturalnym, jak i w sensie dużego ładunku nowatorstwa, jaki wnoszą DKF-y do utartych już form życia kulturalnego w naszym kraju.

Idea powstania dyskusyjnych klubów filmowych narodziła się we Francji już w roku 1921. W Polsce DKF-y mają znacznie krótszą, tym niemniej dynamiczną historię; dziś mamy ich już 200 działających na obszarze całego kraju i w bardzo różnych środowiskach. Wiąże się to ściśle z ciągłą popularnością filmu jako środka przekazu wrażeń artystycznych i jako tworzywa twórczego w szczególności. Wielkie znaczenie X Muzy w życiu kulturalnym naszej współczesności objawia się przede wszystkim w ciągle rosnącym zainteresowaniu filmem. Często błędnie utożsamia się film z kinem jako instytucją, której popularność rzeczywiście spada w związku z konkurencją telewizji. Nie stanowi to jednak żadnego niebezpieczeństwa dla sztuki filmowej, daje nawet nowe pole do działania, do poszukiwań i eksperymentów.

Jednym z podstawowych kryteriów oceny społecznych wartości sztuki jest realny zasięg jej oddziaływania. Tutaj X Muza pobiła na głowę wszystkie swoje poprzedniczki. Film stał się najwygodniejszą i najnowocześniejszą formą przekazu wrażeń, refleksji i obrazów artystycznych o praktycznie nieograniczonym zasięgu działania. Do swej doskonałości doszedł film poprzez prymitywne eksperymenty braci Lumiere — całą epokę filmu niemego i — rewolucyjne początki filmu dźwiękowego — aż do najwspanialszych arcydzieł współczesnej kinematografii. Cały ten proces rozwoju dokonał się w ciągu zaledwie 75 lat a więc w czasie niebywale krótkim jak na rozwój zupełnie nowej dziedziny sztuki. I właśnie w tym zjawisku gwałtownego rozwoju filmu niebagatelną rolę spełnił ogromny zasięg oddziaływania kinematografii, a w szczególności możliwość konfrontacji arcydzieł filmowych.

TAK SIĘ ZACZEŁO

Zaczeło się w październiku 1965 roku. Z inicjatywy Zarządu Uczelnianego ZMS i pod jego patronatem powstał w Politechnice Wrocławskiej Dyskusyjny Klub Filmowy — DKF ZMS „Politechnika”. Założyli go tacy wielcy miłośnicy i entuzjaści kina jak mgr inż. A. Solecki (obecny przewodniczący DKF), czy mgr inż. T. Borowicz, którzy przeżywali trudne początki klubu a dziś dalej przyczyniają się do jego sukcesów i popularności w środowisku studenckim. Jako się rzekło — „początki bywają trudne”. To prawo sprawdziło się i w historii klubu. Już w pierwszym roku działalności DKF-u



V LAT DKF ZMS POLITECHNIKI

czyli rzecz o awangardzie publiczności genialnej

przed grupką zapaleńców organizujących pracę klubu stały poważne trudności: brak prawdziwej sali kinowej, aparatury, konieczność ograniczania się do filmów wąskich (16 mm), podczas, gdy najcenniejsze pozycje reprezentowane były w wymiarze 35 mm, wreszcie sprawa dość przykra — zupełny brak zainteresowania klubem ze strony osób odpowiedzialnych za działalność kulturalną w Uczelni.

Działalność klubu prowadzona była początkowo w trzech klubach studenckich: — D.S. „Atol”, D.S. „Olimp”, T-3. Tylko raz w miesiącu organizowano projekcje w sali nr 329 w Gmachu Głównym, gdzie mogły być prezentowane filmy na normalnej taśmie 35 mm. Już tytuły pierwszych filmów sprowadzonych przez klub mówiły o jego dużych ambicjach repertuarowych. Wystarczy wymienić chociażby takie tytuły jak: „Gorączka w El Pao”, czy „Kto sieje wiatr” lub „Więźniowie nocy”. Od 1 stycznia 1966 r. DKF ZMS „Politechnika” został pełnoprawnym członkiem Polskiej Federacji DKF-ów. Działając w oparciu o związkowe źródła materiałowe mógł teraz korzystać z filмотeki archiwalnej CAF-u. Klub zaczął rozwijać się w szybkim tempie, już w drugim roku swej działalności wszystkie projekcje DKF-u odbywały się w sali kinowej Politechniki, co wyraźnie podwyższyło jakość prezentowanych filmów.

CO JEST GRANE?

Od początku działalności klubu do dziś każde spotkanie odbywa się systemem: prelekcja — projekcja — dyskusja. Już w drugim roku działalności DKF zaczął aplikować swoim widzom

całe serie tematyczne wybitnych filmów, że wspomnę chociażby serie filmów spod znaku „Młodzi”, w ramach której widzowie zobaczyli takie dzieła jak: „Lunatycy”, „Pingwin”, „Rysopis”, „Do widzenia do jutra”, „Walkower”, „Bariera”. Akcja ta, zaproponowana przez ZU ZMS Politechniki i nazwana „Postawy studenckie”, zakończyła się ogólnopolskim seminarium, zorganizowanym przez ZU na temat posłów studenckich, gdzie najlepszym materiałem do dyskusji okazały się refleksje powstałe u młodych ludzi pod wpływem oglądanych filmów. W przeciągu dwóch pierwszych lat działalności DKF-u wprowadzono jeszcze w sposób nieregularny, natomiast począwszy od 3 roku istnienia klubu — praca trwała przez pełne 9 miesięcy.

W ciągu tych 5 lat pracy na ekranie klubowego kina pojawiły się tytuły najwspanialszych arcydzieł filmowych, jakie stworzyła kinematografia w przeciągu istnienia sztuki filmowej. Poczynając od arcydzieł filmu niemego, a kończąc na najnowszych dziełach filmowych, które były prezentowane z puli tzw. filmów przedpremierowych. Bardzo szeroki jest zakres rodzajów filmów prezentowanych w klubie. DKF sprowadza filmy archiwalne, filmy grane aktualnie w kinach, filmy przedpremierowe (grane w klubach na dwa miesiące przed premierą), dokumentalne, krótkometrażowe itd. Jednocześnie działacze klubu wcale nie poprzestawali na prezentowaniu osiągnięć kinematografii, ale również za pomocą owych projekcji włączali się w obchody wszelkich uroczystości i świąt związanych z życiem naszego kraju. Jednym z bardzo udanych był cykl filmów z okazji XXV-lecia Wojska Polskiego, kiedy to członkowie klubu obejrzelі takie filmy jak: „Lotna”, „Eroica”, „Ballada o żołnierzu”. Równoległe z projekcjami kierownictwo klubu często organizowało spotkania z ludźmi filmu. Między innymi warto wspomnieć, że prapremiera głośnej komedii „Sami swoi” odbyła się właśnie w DKF-ie „Politechnika” — z udziałem reżysera filmu Sylwestra Chęcińskiego.

TERAZ

Dzisiaj DKF ZMS „Politechnika” wyraźnie wyróżnia się spośród innych swoją prężnością i ambitnym repertuarem. Liczy przeszło 200 członków i przeważnie wszystkie projekcje odbywają się przy przepelnionej sali. W 1970 roku zaprezentowano widzom bardzo ciekawy cykl filmów zatytułowanych „Sztuka filmowa ma 75 lat”, w ramach którego publiczność zapoznała się z rozwojem sztuki filmowej w ciągu tego okresu, oglądając takie filmy jak: „Filmy braci Lumiere”, „Walizka snów”, „Portier hotelu Atlantic”, „Światła wielkiego miasta” itd.

Pracą klubu kieruje Rada Klubu pod kierownictwem mgr inż. A. Soleckiego. Jedną z ostatnich inicjatyw Rady jest wprowadzenie systemu premiowania darmowym biletem teatralnym każdego widza, który wykupi karnet na trzy kolejne miesiące.

Klub nie ogranicza się do kształcenia widza tylko za pomocą prelekcji. Rada Klubu rozpowszechnia wśród członków miesięcznik „Kultura Filmowa”, wydawany przez Polską Federację Dyskusyjnych Klubów Filmowych.

BRAWA DLA JUBILATA

Nie trudno się domyślić, że rola Dyskusyjnego Klubu Filmowego w śro-

dokończenie na str. 5

Zwyciężyć siebie...

Wojnarowicz na Pute Margarithte

W Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN pod hasłem alpinizm czytamy m.in.: „W 1957-61 wybitniejsze wyniki w Kaukazie przy powtarzaniu najtrudniejszych znanych wejść, jak i przy dokonywaniu nowych, osiągnęli: K. i R. Berbeka, J. Długosz, ... S. Biel, J. Wojnarowicz, ... R. Zawadzki, M. Bała”.

Tak więc w plejadzie najlepszych polskich taterników znalazł się także — jedyńy zresztą w tej grupie — wrocławianin, a mianowicie: mgr inż. arch. JERZY WOJNAROWICZ, dobrze skądinąd znany mieszkańcom naszego miasta. Jest on bowiem również — a może przede wszystkim — cenionym autorem wielu interesujących rozwiązań architektoniczno-urbanistycznych, od dwóch lat stale pracującym w Zakładzie Stydjno-Projektowym Politechniki Wrocławskiej. Lecz pomimo że architektura jest jego profesją (szczerze zresztą umiowaną), to jednak pasją Jurka Wojnarowicza, były i są — góry.

W 1966 roku Wojnarowicz — wspólnie ze swoim partnerem, Jerzym Rudnickim — wyjeżdża w Alpy z zamiarem dokonania II przejścia liczącego 1100 m filara Margarithte, osadzonego w murze Gr. des Jorasses. Francuzi potrzebowali na jego zdobycie czterech dni. Oni planowali szturm... jednodniowy. A oto co sam Wojnarowicz opowiada o podjęciu i przebiegu tej śmiałej próby:

„Ciemną nocą lądujemy na lotnisku w Genewie. Na dworcu lotniczym czeka już na nas autobus, którym jedziemy do Chamonix — miejsca naszej bazy. Namioty rozbijamy u ujścia lodowca Mer de Glace. Roztacza się stąd wspaniały niepowtarzalny widok na serce Alp — od Dru, poprzez ponury mur Jorasses, aż po Aig. des Chamonix. Właśnie ten mur był naszym celem. Marzeniem...

Razem bowiem z „Druciarzem” (pseudonim J. Rudnickiego) postanowiliśmy pokonać — jedyńy zresztą w Jorasses nie zdobyty przez polskich alpinistów — filar Pute Margarithte. Pierwsi zdobywcy określili go jako nadzwyczaj trudny, bardzo eksponowany, o kruchej skale. Ponieważ zarówno studiowanie zdjęć, jak i lornetowanie filaru było dla nas niewystarczające, postanowiliśmy zasięgnąć dodatkowych informacji u instruktorów ENSA — słynnej Szkoły Alpinizmu w Chamonix.

Oni jednak zaczęli nam odradzać, mówiąc, że filar jest właściwie dziewiczym, gdyż Francuzi zostawili o nim niewiele wiadomości, że są same płyty i że droga jest bardzo powietrzna. Muszę poza tym dodać, że przed wyjazdem do Francji miałem kontuzjowane kolano. Toteż niewiele obiecywałem sobie po tym sezonie w Alpach.

Pomimo to postanowiliśmy wyruszyć następnego dnia, wczesnym rankiem. Sprzęt był już spakowany wcześniej. W horolezkach leżały przygotowane liny, karabinki, haki, młotki, raki, czekany, kaski z kupionymi na miejscu lampkami człowowymi, trochę żywności: soki, pomarańcze, czekolada...



Jerzy Wojnarowicz Fot. J. Słupski

Nazajutrz kolejka linowa zawiozła nas do stacji Montenvers, skąd dalej trzeba już było iść o własnych siłach. Wkroczyliśmy na lodowiec Mer de Glace. Szło się bardzo ciężko. Dokuczał upał i brak powietrza. Było duszno... Zapadał już zmierzch, gdy dotarliśmy do schroniska Leschaux — małej, zbudowanej na urwisku aluminiowej chatki, leżącej na bocznej odnodze lodowca, która podchodziła pod same Jorasses.

I tu spotkani alpinści francuscy ostrzegali nas przed Margarithte. Mówili, że z pogodą jest coś nie w porządku, a przy najmniejszym nawet jej załamaniu nie mamy żadnych szans. Aura rzeczywistości w ostatnich dniach płatała figle. Tej nocy też panowały dziwne warunki. Choć zbliżała się północ, było bardzo ciepło, podczas gdy normalnie o tej porze panuje już mróz. Prawdę mówiąc baliśmy się trochę, że może to zwiastować niepogodę, ale siła przyciągania filara była od naszych obaw mocniejsza. Pełni optymizmu położyliśmy się więc spać.

Przed świtem, około godziny trzeciej, wyszliśmy ze schronu. Po trzech godzinach podchodzenia lodowcem Leschaux byliśmy u podnóża filara. Lekkie śniadanie i przyszła kolej na forsowanie szczeliny brzeżnej (w górach wysokich tworzą się one wzdłuż linii styku podstawy ściany z powierzchnią lodowca), szerokiej na około 6 m, a głębokiej na 15 m. Przy takich rozmiarach należało najpierw zjechać na dno, by następnie podciągnięciem (techniką hakową) pokonać jej drugą, przewieszoną ścianę. Najgorszy był nawis lodowy, przez który trzeba się było przerzekać, żeby móc wejść na filar.

Powyżej, prawie pionowo, pięła się w górę — fantastycznie iskrząca się w

słońcu — 200-metrowa płyta lodowca. Dalej zaczęły się odcinki skalne, później znowu lodowe — wszystko w znacznej ekspozycji. Było po 10,00, gdy zobaczyliśmy krążący nad nami helikopter, który przyleciał z Chamonix pod ścianę zobaczyć jak nam idzie. Jak się później okazało, o wejściu naszym było głośno w alpejskiej stolicy Francji.

Po około 15 wyciagach, stosunkowo łatwych, zaczęły się odcinki bardzo trudne. Były to na ogół pionowe płyty, wyjątkowo skąpo urzeźbione, o nielicznych wąskich szczelinach, wymagające od wspinacza najwyższych umiejętności technicznych. A ponieważ ich wysokość przekraczała często 50 m, a pokonywanie ich było możliwe jedynie techniką podciągową, musieliśmy sobie dawać częste zmiany w prowadzeniu. Pomimo rosnących trudności szło nam doskonale, i — co najważniejsze — nie byliśmy wcale zmęczeni.

Pod wieczór mieliśmy pokonane ponad 900 m ściany, w tym blisko połowę odcinków o najwyższej skali trudności, co — jak na tak krótki okres — było rekordowym wyczynem. Około godziny 10,00 zaczęło się jednak to, czegośmy się najbardziej obawiali: od strony włoskiej pokazały się, niesione przez wiatr, gęste mgły. Nie przerywaliśmy jednak wspinaczki. Ale w krótkim czasie zrobiło się prawie zupełnie ciemno i zaczął padać deszcz. Do końca brakowało nam wtedy jakieś 200 m, na co trzeba było — przy sprzyjających warunkach — około 4 godzin, nawet mniej, zważywszy, że filar praktycznie rzecz biorąc już się kończył i przechodził w łagodną kopułę szczytową. Pierwotny plan przewidywał, że przenocujemy na szczycie lub zjeździemy na jedną z przełęczy. Ale cóż...

...pogoda pogarszała się z minuty na minutę. W tej sytuacji o dalszej wspinaczce nie mogło być mowy. Zaczęliśmy na gwałt szukać miejsca na biwak!

W końcu trafiła się wąska plasienka, szerokości nie większej niż 30 cm, na której postanowiliśmy spędzić noc. Gdy zakładaliśmy autoasekurację, zaczął padać gęsty śnieg. O spaniu, oczywiście, nie mogło być mowy. Nie śnieg nam jednak dokuczał ani mróz przerażał. Najbardziej baliśmy się wiatru, co niestety trudno zrozumieć, gdy się zważy, że właściwie wisieliśmy w powietrzu.

Na krótko przed północą zaczęła się pierwsza burza. Dalekie zrazu błyskawice i grzmoty, zaczęły się coraz bardziej do nas przybliżać. Zaniepokojony powiedziałem do „Druciarza”: — Trzeba będzie to całe żelastwo odsunąć od siebie, bo jak piorun trzaśnie...

— Najwyżej! Będziemy przynajmniej od razu mieli wszystko z głowy. A co zrobisz, jak trzaśnie tylko w sprzęt? W jaki niby sposób wówczas się wycofamy?! — Nic mu na to nie potrafiłem odpowiedzieć. A burza tymczasem szalała. To było coś upiornego. Chmury kotłowały się tak nisko, że błyskawice spadały krótkimi, prostymi kreskami, oświetlając wszystko na czerwono.

Zacząłem się bać. Po raz pierwszy w życiu poczułem co to jest strach...

Nie minęła dobrze pierwsza burza, gdy zaczęła się druga. Później przyszła trzecia, czwarta, a nad ranem — piąta. Byliśmy kompletnie przemoczeni. Temperatura musiała spaść poniżej zera, gdyż momentami posypywał śnieg. Zimno było potworne. Trzeba było siłą przetrzymywać szczęki, ażeby nie dzwonić zębami.

Tak przeszła nam cała noc. Nad ranem śnieg przestał padać i na moment wyszło słońce. Wstąpiła we mnie otucha. Pomyślałem: no... przed nami piękne wspinanie, które — jak dobrze pójdzie — dzisiaj skończymy. Gdy jednak popatrzyłem na Jurka, ochoła przeszła mi od razu. Wyglądał strasznie (zresztą ja chyba nie lepiej, tylko że siebie nie widziałem). Był zupełnie blady. Na płamie przeżycystobiałej twarzy rysowały się tylko mocno podkrążone, nienaturalnie błyszczące oczy.

Radość porannego promienia słońca była zresztą krótka. Po paru zaledwie minutach zaczęło się to samo co w nocy, z tą tylko różnicą, że zamiast burzy zaczął padać — na przemian z deszczem — gęsty śnieg. Ochłodziło się tak raptownie, że nasze ubrania w jednej chwili stały się chrzęszczącą skorupą. Aby się nieco rozgrzać, stopiłem trochę śniegu i przygotowałem kakao. Zjedliśmy również kilka keksów i kawałek czekolady.

Nadeszła pora podjęcia decyzji i... próby wydostania się z koszmarnego pułapki. Pierwsza myśl była taka, ażeby szybko skończyć filar, wejść na szczyt i dopiero stamtąd schodzić. Po dłuższym jednak rozważeniu zrozumieliśmy, że w tych warunkach jest to absolutnie niemożliwe. Widoczność była ograniczona dosłownie do paru metrów. O tym gdzie jest góra a gdzie dół, orientowaliśmy się po kierunku spadku śniegu. Pod nami była — licząca bez mała tysiąc metrów — przepaść, stanowiąca w zaistniałej sytuacji jedyną możliwą drogę odwrotu.

Z dużym wysiłkiem opuściliśmy miejsce naszego biwaku. Pierwsze metry na płycie trzeba było pokonać zupełnie po omacku. Wszystkie bowiem dokładnie było oblepione śniegiem (w nocy spadło go około 40 cm), który zaczął teraz marznąć na ścianie. Na dodatek zerwał się wiatr, a z nim przyszło — załamanie i rezygnacja. „Druciarz” powiedział, że już mu jest wszystko jedno a ponieważ wszelkie próby i tak są daremne, więc nie mają najmniejszego sensu. Ja byłem tego samego zdania, ale przecież nie mogliśmy tu zostać!

Po jakimś czasie śnieg jednak ustął. Zaczęliśmy rozpatrywać możliwości odwrotu. Jedną z realnych alternatyw było wytrawersowanie ze ściany na lodowiec la Vallée Blanche, skąd można było już zejść na dół — do doliny. Jednak żeby tego dokonać, trzeba było zrobić trawers dosyć głębokiego komina, którym bez przerwy leciały lawiny śniegu i kamieni. Za nim natomiast była 40-metrowa bariera seraków, wiszących nad lodowcem Leschaux.

Kiedyśmy rozważali możliwość pokonania tej bariery, los sam powziął za nas decyzję. Po prostu: cała pierwsza warstwa bariery zerwała się nagle i lód z hukiem poleciał w dół. To wybiło nam ten wariant powrotu natychmiast z głowy. Pozostało jeszcze jedno wyjście: wycofać się tą samą drogą, którą się wspinaliśmy, z tym, że teraz trzeba będzie pokonać ją w dół, przy pomocy zjazdów.

Oczywiście dobrze zdawaliśmy sobie sprawę z ryzyka, jakie ponosimy zjeżdżając. Każda nieprzewidziana przeszkoda (w rodzaju zaklinowania liny, czy braku pętli do jej założenia) była dla nas katastrofą. Również jakiekolwiek uszkodzenie liny, oznaczało — KONIEC.

Była godzina 11,00, gdy „Druciarz” wszedł w kluczy i rozpoczął zjazd w nieznaną. Po chwili zawołał z dołu, że lina wolna. Spuściłem mu więc plecaki z całym sprzętem i następnie pojechałem sam. Stał na maleńkiej krawędzi, z której z kolei ja zjechałem pierwszy, dając początek tej samej co wyżej kombinacji. Gdy i on był na dole, ściągnęliśmy linę, by założyć trzeci zjazd...

Po kilkunastu takich operacjach ręce zaczęły odmawiać posłuszeństwa. Skóra została tak zdarta, że każdy kolejny chwyt był wynikiem bardziej siły woli, niż siły fizycznej. Byliśmy ponad to kompletnie przemarznięci; bez rękawic; dłonie krwawiły. Sama lina — podobnie jak my — była oszroniona grubą warstwą lodu. Trafiały się odcinki, gdzie musieliśmy wbijać haki, gdyż zatrzymywanie po zjeździe następowało przy gładkiej płycie, do której trzeba było niejednokrotnie dohuścić się metodą wahadła, jeśli to było akurat miejsce przewieszone. Wówczas byliśmy zdani wyłącznie na wytrzymałość haków.

Pod koniec, kiedy zostało nam jeszcze — jak się później zorientowaliśmy — około 15 zjazdów, skończyły się haki, karabinki i pętla. Doszło do tego, że w miejsce pętli użyliśmy najpierw sznurówadeł z własnych butów, a kiedy i ich zabrakło — taśmy parcianej z raków.

Około godziny siódmej wieczorem zauważyliśmy pod sobą wielką płytę lodową, pokrytą śniegiem. Był to już ostatni odcinek do pokonania przed zejściem na lodowiec, który oznaczał nasze ocalenie. Dolną część płyty przebyliśmy już nawet częściowo z asekuracją z czekana. Wreszcie osiągnęliśmy nawis nad szczeliną lodową, gdzie założyliśmy ostatnie stanowisko zjazdowe. „Druciarz” pojechał pierwszy. W pewnym momencie zniknął pod nawisem i za chwilę zawołał: JESTEM!!!

Stał już więc — bezpieczny — na lodowcu. Posłałem mu plecaki, i za moment sam byłem koło niego. Staliśmy kilkanaście metrów od miejsca, z którego wczoraj rozpoczęliśmy wspinaczkę...

Zejście lodowcem — już w zupełnych ciemnościach — trwało kilka godzin. Tu jednak — na terenie pozornie względnie łatwym — nie obeszło się bez przygód. W pewnym momencie „Druciarz” zniknął w jednej z głębokich, „zamaszkowanych” śniegiem, szczelin lodowych. Na szczęście wyszedł z opresji bez szwanku.

Dochodziła druga w nocy, gdy krańcowo wyczerpani, ze spieczonymi ustami i wyschniętymi na wiór przelykami, zobaczyliśmy naszą bazę. W momencie dotknięcia swojego namiotu poczułem coś w rodzaju kompletnego zamroczenia. Pamiętam jeszcze tylko, że upadłem na ziemię...

Następnego dnia zbudził mnie jakiś dziwny gwar przed namiotem. Wyszłem zobaczyć, co się dzieje. W bazie oprócz kolegów byli jacyś nieznajomi. Jak się później okazało — dziennikarze francuscy, którzy przyszli nas przeprosić za swój artykuł. Otóż dowiedzieli się, że jesteśmy na Margaritte, że helikopter nie mógł do nas dolecieć, że jeżeli przetrzymamy noc to jedyną naszą szansą jest wycofanie się a bardzo wątpliwe, żebyśmy w tych warunkach mogli wykonać bezbłędnie wszystkie zjazdy; a każdy błąd musiał się skończyć tragicznie. Przepraszali więc za artykuł, w którym uznali nas już za zaginionych.

Było dużo radości i śmiechu. Niemniej jednak zrobiło nam się wtedy z Jurkiem trochę przykro. Byliśmy przecież pokonani...

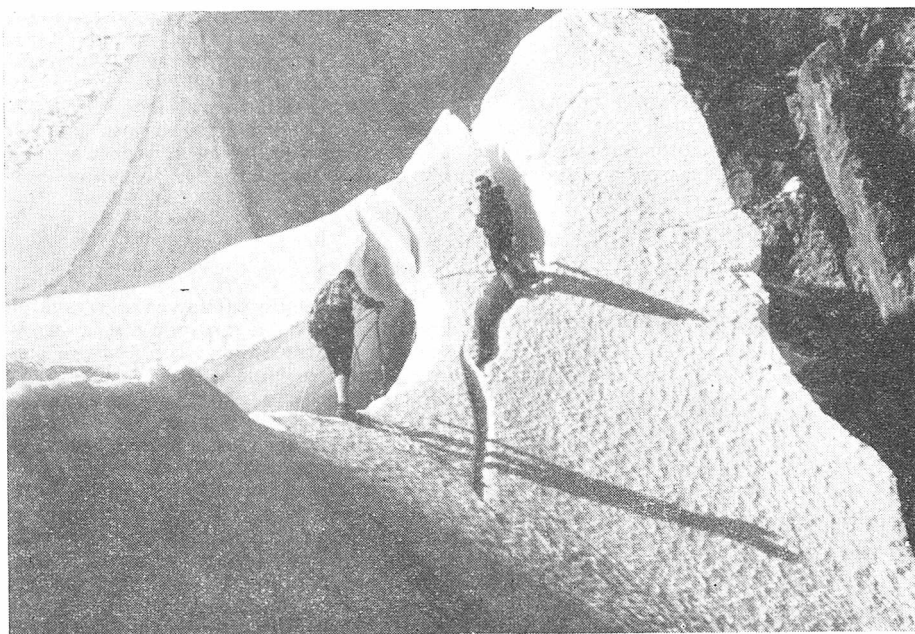
Postanowiliśmy jednak nie dać za wygraną i może kiedyś, raz jeszcze zmierzyć się z filarem Margaritte”.

* * *

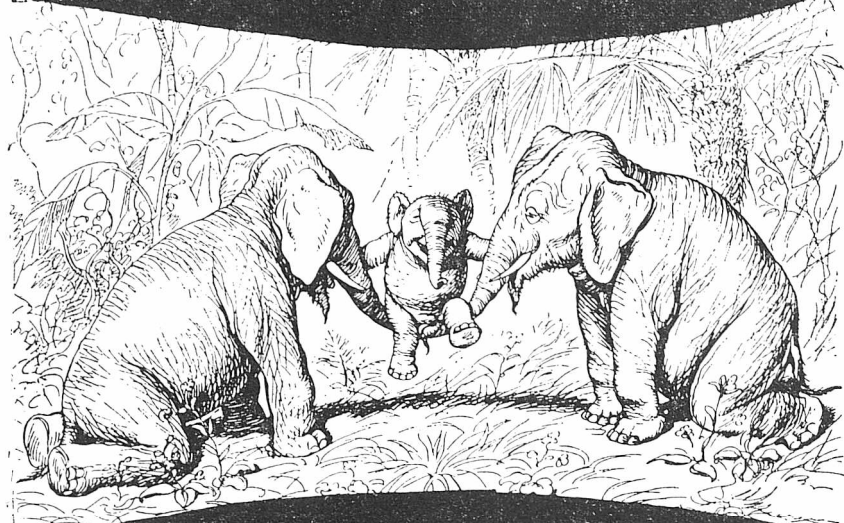
Jerzy Wojnarowicz nie zaprzestał uprawiania wyczynowego alpinizmu. Jego najbliższe plany to najwyższe góry świata — Himalaje.

Opracował: JERZY OLEK

Fot. J. Słupski



ROK OCHRONY



STUDENTA

ASYSTENT-WAMPIR CZY STUDENT ... niepracowity

W grudniowym numerze SIGMY mieliśmy okazję przeczytać artykuł niejakiego pana A.W.M. traktujący o studentach, tych „zwierzętach szczególnie leniwych i wrażliwych na wszelkie zmiany pogody”, biednych, zahukanych istotach, zamęczanych psychicznie przez asystentów, którzy tylko czyhają, aby ich zaciukać. Fakt pojawienia się na sali wykładowej tortur łamania kołem, cierpiętniczego różańca czy instrumentów do wrywania paznokci nikogo by nie mógł zaskoczyć, gdyż byłby logiczną konsekwencją metod dydaktycznych stosowanych przez asystenta-wampira, którego autor tak barwnie opisał. Z jego przepełnionych goryczą słów wynika, że Politechnika roi się od krwiożerczych, ponurych typów, które cichcem, z dzikim sadystycznym chichotem zadowolenia karbują ściętych studentów w swoich równie krwawych i ponurych statystykach. I chyba tylko brakowi bujnej wyobraźni autora należy zawdzięczać, że w swoim opisie zbójce-kich praktyk asystentów nie dał im koltów do ręki i oszczędził nam wizji asystenta wychodzącego z sali i kopiącego pogardliwie szczątki zamęczonych ofiar.

Nie wiem, czy to widmo zbliżającej się sesji egzaminacyjnej, czy też inne przyczyny skłoniły autora do refleksji nad egzystencją zastraszonego studenta,

ale wytoczenie ciężkiej artylerii w postaci chorób nerwicznych jest chyba grubą przesadą. Mam wątpliwości, czy statystyka jest aż tak alarmująca, ale w większości we wszelkiego typu szkołach student czy uczeń naturalnym stanem rzeczy nie wie, kiedy będzie pytany i nie słyszałem aby było inaczej. Nic mi również nie wiadomo o utworzeniu czegoś w rodzaju sanatoriów regenerujących zrujnowane zdrowie studentów, którzy mają być jakoby jednym wielkim kłębkim nerwów. Nie czarujemy się. Jesteśmy albo byliśmy studentami. Z całym sercem polecam panu A.W.M. pewien ciekawy eksperyment: niech spróbuje raz solidnie przygotować się do ćwiczeń. Jeżeli wtedy również będzie odczuwał stany nerwowe lub nerwico-podobne, to sprawa wkroczy w sferę działania specjalistów psychiatrów a ze swej strony mogą tylko radzić zainteresowanie się mniej męczącym zajęciem niż studia. A czy zastraszający brak, zdaniem A.W.M., asystentów-kumpli, sielankowej atmosfery, zgodnej bratniej współpracy (łącznie z poklepywaniem się po plecach) nie jest, przynajmniej częściowo, wynikiem postępowania samych studentów? Postępowania w myśl przysłówia o kurze i grzędzie?

A już szczytem wszystkiego jest „działalność” niektórych studentów na kolokwium czy egzaminie: począwszy od zwykłego spisywania z zeszytów, po-

przez konstruowanie wymyślnych bryków, całych katalogów gotowców, chowanie ściąg w intymne miejsca (co jest żenujące nie tylko dla asystentów i całego otoczenia ale i dla samego ściągającego) a skończywszy na poddawaniu osób lepiej zorientowanych w danej dziedzinie. Jedyną szansą przetrwania dla niektórych studentów jest właśnie ściąg a punktem honoru — zwalić, oszukać, byle się nie nauczyć. Bo ci co tracą czas na naukę — to ciemni frajerzy. Ci, którym udało się ściągnąć, chętnie się swoim sprytem, chodzą w glorii chwały i sławy a potomni tworzą o nich całe legendy. Ich uczyny przechodzą do historii i są mniej lub bardziej udanie kopiowane i ulepszone. Są przedmiotem zazdrości nawet dla tych najlepszych. I pomyśleć, że istnieją kraje, gdzie nie do pomyślenia jest pilnowanie na egzaminie. I wcale nie dlatego, że tamci asystenci hołdują ichniej statystyce, nie, po prostu studentom nie przyjdzie na myśl ściąganie, tzn., nazwijmy rzecz po imieniu; fałszowanie wyników sprawdzianu. Nie mieści się to w głowie, prawda? Zabawa w psa policyjnego nie należy, jak sądzi pan A.W.M., do szczególnych przyjemności, zwłaszcza gdy facet przejmujący się swoją rolą jest dla nas, „honornych” Polaków, z gruntu przegrany. To, że niektórzy asystenci (ci „potwornie srodzy”) są przedmiotem kpin i żartów, nie może być poważnym argumentem w dyskusji, zwłaszcza, że prowadzący ćwiczenia kulają się ze śmiechu czytając „odkrywczę” teorie wymyślane naprędce przez studentów.

Idea powstania ćwiczeń audytoryjnych miało być danie szansy uniknięcia szkolnego egzekwowania wiedzy, tych psychicznych tortur, studentom, którzy uczą się sumiennie i systematycznie. A wywieszanie zadań, które mają być przerobione na ćwiczeniach, eliminuje możliwość zaskoczenia, oczywiście dla studenta, który się do ćwiczeń przygotował. Wiedzę studentów należy egzekwować. Wynika to ze struktury naszego, bądź co bądź, darmowego szkolnictwa. Używanie przez pana A.W.M. wytartych frazesów w stylu „nasz klient nasz pan” jest co najmniej nie na miejscu i do niczego nie prowadzi. Bo jeżeli klientem jest student, to czy nie przypadkiem w brydżowym kontekście?

Daleki jestem od stwierdzenia, że nasz dydaktyczny model osiągnął bałwochwalczy ideał. Każdy rozsądny projekt sprawdzania stanu zaangażowania studenta w nauce będzie mile widziany i na pewno solidnie rozpatrzone. Obojętnie czy to będzie propozycja pana A.W.M. czy kogokolwiek innego.

mgr PIOTR PLENKIEWICZ I.F.T.

* * * * *



SUPLEMENT DO „ROKU OCHRONY STUDENTA”:

TECHNOLOGIA OBRÓBK
STUDENTA

„Wyszkolenie fachowca o wysokich kwalifikacjach, a szczególnie z wyższym wykształceniem technicznym kosztuje bardzo wiele. Plany resortów zakładają wzrost zapotrzebowania na inżynierów w najbliższym czasie. Przy dotychczasowym stanie kadr i środków, rezerwy produkcyjne w szkolnictwie wyższym tkwią jedynie w poprawieniu wskaźników terminowości nauczania.

POGLĄD TEN, zaprezentowany przez prorektora PW d.s. dydaktyki (na rozszerzonym Plenum KZ PZPR Politechniki Warszawskiej) — prof. Mieczysław ŁUBIŃSKI, determinuje styl

pracy na wyższych uczelniach, mający zapewnić lepsze wskaźniki ilościowe. Formułując taką opinię nie wnika się w to, jaki jest wskaźnik wykorzystania absolwentów, ani też w to, ilu słabych inżynierów wart jest jeden wybitny.

Ponieważ miarą wartości zarówno absolwentów wyższych uczelni jak i badań naukowych jest w ostatecznej instancji stan gospodarki narodowej, „dla politechniki tą miarą jest stan techniczny i jakość produkcji przemysłu” (Jan Szczepański: Problemy i perspektywy szkolnictwa wyższego w Polsce), mimo pełnego szacunku dla do-

robku dwudziestopięciolecia, nie mamy powodów, by zachwycać się pracą wyższych uczelni. I nie o wskaźniki ilościowe tu chodzi, bo wiadomo, że w niektórych dziedzinach mamy inżynierów więcej niż najbardziej rozwinięte kraje. Gorzej jest natomiast z produkcją.

Co prawda, przy każdej ocenie pracy szkoły wyższej mówi się też o jakości, ale znane dwa sposoby pomiaru tej jakości nie zdają egzaminu. Proponuje się bowiem oceniać jakość pracy na podstawie wystawianych ocen; w takiej sytuacji wystawiający stopnie oceniałby jednocześnie samego siebie. Inny sposób polegający na badaniu dorobku i karier absolwentów, jest niezwykle skomplikowany i długotrwały. Pozostaje więc to, co się da najłatwiej obliczyć: terminowość i sprawność nauczania.

Od czasu, kiedy jedno ministerstwo zajmuje się całą edukacją narodową, charakter pracy szkół wyższych upodabnia się coraz bardziej do praktyk, stosowanych na niższych szczeblach nauczania. Czy zamierzamy podnieść w ten sposób wartość wyższego wykształcenia? Przyjrzyjmy się szkolnym przykładom.

W szkołach mamy już doskonałe wskaźniki nauczania, ale nie ulega wątpliwości, że jest to w dużym stopniu sukces tylko na papierze. Drukowane parę lat temu na łamach ŻYCIA WARSZAWY listy nauczycieli i trafiające się od czasu do czasu podobne opinie w tygodniku POLITYKA nie pozostawiają cienia wątpliwości co do tego, że poprawa sprawności w szkole wiąże się z obniżeniem jakości jej absolwentów. Opisywano przypadki samowolnego poprawiania ocen niedostatecznych na pozytywne przez dyrektorów szkół, wskazywano na kłopoty, na jakie natrafia nauczyciel, gdy z pełnym przekonaniem stawia więcej dwój niż dozwolone zarządzeniem maksimum procent.

Niegdyś strach przed obłaniem był bodźcem do nauki w szkole i z pewnością nie było to korzystne zjawisko. Dziś prawie każdy, często najgorszy uczeń wie doskonale, że zdać i przejść do następnej klasy musi, bo w przeciwnym razie kłopoty miałby jego nauczyciel. Nie trzeba uzasadniać, że taki sposób rozliczania z wykonania pracy jest najlepszy dla słabych i niesumiennych nauczycieli.

We Francji czy Holandii maturę zdaje około 50 proc. abiturientów. U nas egzamin maturalny jest formalnością. We Francji obserwuje się bardzo wysoką terminowość studiów, u nas bardzo niską... W szkołach mamy nie tylko dobre wskaźniki, ale i dobre oceny (co ma świadczyć o jakości pracy szkół). Tymczasem, coroczna ocena przygotowania młodzieży do egzaminów na wyższe uczelnie pozwala na wyodrębnienie grupy szkół, których absolwenci legitymują się dobrymi świadectwami, lecz mimo to egzaminy wstępne okazują się dla nich progiem nie do przebycia.

Redakcja „itd” zaprosiła do udziału w dyskusji, poświęconej dydaktyce wyższej uczelni technicznej m.in. grono profesorów z Politechniki Warszawskiej. Prof. Tymowski powiedział przy tej okazji, że badacze szkolnictwa amerykańskiego „podkreślają bardzo znacznie podniesienie przeciętnej wiedzy kandydata przychodzącego na uczelnię. U nas jest akurat odwrotnie. Z mate-

matyki zdawałem maturę równo 50 lat temu. W ciągu tych pięćdziesięciu lat programowe wymagania maturalne w zakresie matematyki nie wzrosły. Obniżył się natomiast poziom nauczycieli”.

Pedagodzy są zdania, że każdy kto ukończył szkołę średnią i zdał na studia, może ukończyć te studia. Fakt obłania egzaminu traktują jako niepowodzenie dydaktyczne. A tymczasem...

Ankietowani często studenci pierwszych lat studiów są zobowiązani do odpowiedzi na pytanie: czym kierowałem się w wyborze studiów? W pisemnych odpowiedziach mowa jest najczęściej o zainteresowaniach, tradycji rodzinnej, namowie nauczyciela, kolegów, etc. Nieco inne padają odpowiedzi, gdy rozmowa ma charakter zupełnie nieoficjalny. Wtedy słyszy się o ambicjach rodzinnych i towarzyskich, o ciekawym życiu studenta, o atrakcyjniejszej — niż z poboru służbie dla Ojczyzny. Tymczasem, w założeniach dydaktycznych tkwi przekonanie o tym, że jedynym powodem, dla którego X zdał na studia jest chęć uzyskania wysokich kwalifikacji w umiłowanej przez niego dziedzinie.

Jeśli więc stuprocentowa terminowość da się uzasadnić teoretycznie (w Związku Radzieckim optymalną terminowość określa się na 85 proc., traktując 7 proc. jako przypadki losowe, a 8 proc. jako patologiczne) to wypada przy okazji zapytać też jeszcze, jakim można osiągnąć ją kosztem?

Gdy zaś przejdziemy do studiów, wi-
zja dobrych wskaźników, wspierana
szkolarskimi metodami przyświeca od
egzaminu wstępnego aż do dyplomu.

Już wstępna kwalifikacja nie zawsze zapewnia właściwą selekcję, szczególnie na wydziałach, na których słabe trójki gwarantują indeksy. A nie brak nam przecież takich wydziałów i w znanej na świecie Politechnice Warszawskiej. Od lat dyskutuje się zawzięcie nad taką formą egzaminu, która zapewniłaby wpływ na studia ludzi utalentowanych, pracowitych, dających rękojmię terminowego ukończenia dyplomu. Oprócz wprowadzonych dwa lata temu punktów za pochodzenie nic się na egzaminach nie zmieniło. Poprawił się nieco skład socjalny (choć nie wszędzie) studiujących, ale czy rzeczywiście studiują najlepsi?

Już od pierwszego dnia pobytu w Alma Mater student jest otoczony różnymi opiekunami, których ilość wciąż wzrasta. Z ramienia władz uczelni, organizacji młodzieżowych, roku, sekcji, grupy; zajmują się taką opieką także dziekani i rektorzy. Od samego początku jest student prowadzony obceniem za rączkę. Sprawy, których powinien sam dopilnować, załatwiają za niego pracownicy naukowci. Opiekun — wychowawca notuje skrzętnie wszystkie oceny i rozlicza się z tej sprawozdawczości, własne zajęcia poświęca problemom, które na dobrą sprawę powinna rozwiązywać sprawnie działająca administracja. „Opiekun grup — mówi prof. Tymowski — ma pilnować, żeby student się zgłosił na egzamin. Niezależnie od tego musi za niego zdawać egzaminu”. Praca opiekunów jest ceniona i honorowana nagrodami; przyczynia się ona z pewnością do poprawienia sprawności studiów (jeśli weźmiemy pod uwagę chociażby osobiste interwencje opiekunów), ale przedłuża okres niemowlęcy w życiu młodych ludzi.

„Naszym studentom mówi się głównie o tym, co było, rzadziej o tym, co jest, prawie nigdy o tym co będzie”.

„Nasi studenci dopiero w ostatnich latach studiów odkrywają, które elementy przyswojonej uprzednio wiedzy są im przydatne, a które nie przydają się do niczego”. (Prof. Janusz Dietrich — głos w dyskusji „itd”).

„Nasze błędy leżały w nie dość szybkim wchłanianiu współczesnych treści w poszczególnych dyscyplinach” (prof. Jerzy Bukowski).

Które z przedmiotów pobudzają do działania twórczego, które są podawane jako osnowa, umożliwiająca start ku postępowi za lat piętnaście? Nadmierne obciążenie programowe i pracochłonność studiów tłumaczy się często specyfiką wydziału czy też uczelni technicznej w ogóle. Ileż jednak tego przekonania bierze się z niedostatecznego przemyslenia charakteru pracy inżyniera w przyszłości i lansowania metod nauczania sprzed wieków. Wygodnie jest ponadto sterować niedouczoną, przemęczoną, niewyspaną, wymagającą ciągłej opieki i pozbawioną kłopotliwych indywidualności masą. W perspektywie jest to jednak interes nieoptymalny.

W sprawie przestarzałych metod nauczania przytoczę ponownie cytaty z książki „Problemy i perspektywy szkolnictwa wyższego w Polsce”: Tradycyjne metody nauczania utrzymują się ciągle i dopiero w ostatnich dziesięcioleciach są powoli rewolucjonizowane przez coraz szersze zastosowanie różnego rodzaju maszyn do uczenia, maszyn do egzaminowania, telewizji o zamkniętym obwodzie, kina i filmów naukowych, itp. Są to jednak urządzenia bardzo kosztowne, wymagają przedstawienia się kadry nauczającej, tworzenia nowych metod nauczania, a zatem spotykają się z niezwykle silnymi oporami. Państwo oblicza z punktu widzenia budżetowego — mechanizacja nauczania wymaga bowiem ogromnych nakładów inwestycyjnych, pracownicy nauki przeciwstawiają się innowacji, ponieważ wymagają one od nich bardzo intensywnego uczenia się, wysiłku i czasu w opanowaniu nowych metod. Ponadto mechanizacja nauczania wymaga stworzenia wielkiego przemysłu, równie wielkiego, sprawnego i plastycznego jak przemysł samochodowy, gdyż co rok czy dwa ten przemysł będzie musiał produkować nowe modele i udoskonalone typy maszyn. Z tych powodów prawie we wszystkich współczesnych społeczeństwach występuje paradoks, że szkoły wyższe, mające torować drogę postępowi i otwierać nowe perspektywy, stają się najbardziej zacofaną technicznie gałęzią życia społecznego”.

W Politechnice Warszawskiej nie ma telewizji o zamkniętym obwodzie. Za to często tablice i kreda nie nadają się do użytku!

Dodajmy — nowoczesne metody nauczania wymagają także nowoczesnych studentów — a nie przedszkolaków, którym się sprawdza notatki na wykładach (są uczelnie, w których stempluje się notatki na każdym wykładzie!), pisze listy do rodziców i organizuje wywiady.

Charakterystycznym przykładem wypaczenia form nauczania na studiach wyższych są konsultacje, powstałe niegdyś jako forma pomocy, ułatwiająca pogłębianie wiedzy. W trosce o opacznie pojęte dobro studenta konsultacje stawały się powoli rygiem do zaliczenia, tyle, że nie uwzględnianym w żąd-

nych siatkach godzin. W innej wersji, szczególnie na pierwszych latach, konsultacje przekształciły się w godziny powtarzania tego, co było na wykładzie i ćwiczeniach. Stało się tak z niewątpliwie chęci pomocy najsłabszym i jak niemal zawsze w takiej sytuacji z pominięciem potrzeb studentów wybitnych.

Tematy egzaminacyjne coraz częściej dobiera się „pod studenta” mniej niż przeciętnego. Konsekwentnie, taki sam charakter przybierają zaliczenia. Mówi Janek Duch — przewodniczący Komisji Nauki RU ZSP Politechniki Warszawskiej „... daje się zauważyć wśród studentów nieumiejętność rozwiązywania problemów w sposób kompleksowy. Otóż podstawowym czynnikiem, który o tym decyduje, jest sam system kryteriów oceny pracy studentów. W uczelniach Warszawy w wielu wypadkach na kolokwium wymagane jest pamięciowe niemal opanowanie pewnych partii materiału. Rzadko się zdarza, aby student na egzaminie otrzymał zagadnienie problemowe. Dyskwalifikuje się studentów za błędy czysto formalne, rachunkowe”.

O przyczynach takiej sytuacji mówi dobitnie prof. Tymowski: „Jeśli dziekan jest na posiedzeniu senatu i mówi mu: „Wasz wydział jest najgorszy czy przedostatni”, to stara się poprawić odpowiednio wskaźniki liczbowe. W semestrze prowadzi się studenta za rękę, ciągnie się go za uszy, póki jeszcze uszy wytrzymują”.

W idealnej — zdawałoby się — sytuacji znaleźli się studenci. Ci z pierwszych lat z niedowierzaniem słuchają o tym, że kiedyś opiekunów nie było, że samemu trzeba było rozwiązywać problemy stypendialne i mieszkaniowe, że obecny dziekan d/s dydaktyki — najprzychylniejszy im człowiek na uczelni osobiście potrafił oblać niegdyś połowę zdających. Lawirując w przeładowanym programie są szczęśliwi, że ktoś myśli za nich o terminach; nawet wybory starosty z ramienia ZSP zorganizują im w grupie opiekunowie. Przy-

zwyczajeni do szkolnej dydaktyki, cenią sobie te wykłady i ćwiczenia, na których podyktowano im materiał, konieczny do zaliczenia i egzaminu. Zająęcia, stwarzające okazję do myślenia i studiowania, traktują jako zamach na ich prawa. Nie mają pojęcia i nie zastanawiają się nad tym, z czego będą mieli pożytek po egzaminie. Dopiero na wyższych latach będzie okazja do smutnej selekcji.

Podkreślmy jeszcze udział administracji w kształtowaniu się miernych osobowości. Ci, którzy mają zabezpieczać warunki do lotu nad poziomy, zbyt często spełniają rolę młyńskiego kamienia.

Na temat skutków takiego podejścia wypowiadano się w innej dyskusji, tym razem w „PERSPEKTYWACH”.

JÓZEFINA HRYNKIEWICZ — Niestety, rozpanoszył się powszechnie kult przeciętności. Po prostu nikt od nas niczego, ponad tę przeciętność, nie żąda. Jeśli nawet premiuje się tych najlepszych, to jest to premiowanie niedostateczne. Przy minimum sprytu można spokojnie przejść przez studia, można otrzymać dyplom, następnie pójść do pracy, być przeciętnym pracownikiem, który właściwie będzie w tym ogólnie panującym pojęciu dobrym pracownikiem, gdyż będzie wypełniał podstawowe obowiązki. Ale wydaje mi się, że od ludzi legitymujących się dyplomem wyższej uczelni, powinno się więcej wymagać, powinno się przede wszystkim rozbudzać ambicje własnej pracy twórczej, tworzenia rzeczy nowych. Wiedza, którą otrzymujemy, jest wiedzą niepełnowartościową, jest wiedzą nijaką, jest wiedzą, która właściwie daje studentowi niewiele. Nie tylko w sensie pracy zawodowej, ale także w sensie pobudzania dalszych zainteresowań i możliwości dalszego kształcenia. Jest to problem bardzo ważny, bardzo istotny. Bo dzisiaj patent wyższej uczelni powinien być, w moim pojęciu, patentem twórczym. A jest w najlepszym przypadku patentem na odwrotność.

MIECZYSLAW SERAFIN — Uważam, że całe nasze szkolnictwo jest bardzo zacofane. Szkoła nawet wyższa, jest szkołą przepisywania. Chcę więc zupełnie świadomie postawić zarzut: nasze aktualne metody nauczania w szkole doprowadzą do tego, że nie będziemy mieli w przyszłości samodzielnych pracowników nauki i przemysłu ale ludzi, których w dalszym ciągu będzie trzeba prowadzić za rączkę, gdyż nie dadzą sobie rady.

Zlikwidowano już na niektórych wydziałach próg dydaktyczny na I roku. Zdarzają się przypadki, że na II rok zdaje 100 proc. studiujących. Nietrudno przewidzieć, że w takiej sytuacji próg dydaktyczny automatycznie pojawi się na roku drugim. I tak jest istotnie, a tam, gdzie — zlikwidowano go na roku II — pojawił się jeszcze później. Małuczko, a przyjdzie nam likwidować to zjawisko po zrobieniu dyplomu. Pisze w cytowanej już książce prof. Szczepański: „Wyszkolenie pozorne ma absolwent, który otrzymał co prawda dyplom, ale nie uzyskał wystarczającego zasobu wiedzy, a więc zdał egzamin, napisał pracę dyplomową (często przy pomocy innych), zdobył w jakiś sposób minimalne oceny, nie potrafi jednak samodzielnie rozwiązywać zagadnień praktycznych, ani nie posiada tej kultury ogólnej, której oczekuje się od ludzi z dyplomem szkoły wyższej”.

I wreszcie kończą się studia. Przewidziana planem ilość absolwentów udaje się do pracy, gdzie wg badań Naczelnej Organizacji Technicznej zostaną wykorzystani zgodnie z posiadaną wiedzą w 30 proc. Ich odwaga, dojrzałość, zaradność życiowa, umiejętność rozwiązywania nowych, skomplikowanych problemów, umiejętność przewidywania i kojarzenia zjawisk — cechy tak znakomicie wykształcone na studiach — przyczynią się do natychmiastowej poprawy stanu gospodarki narodowej!”

Janusz Rygielski, Dokąd idziemy, w: Politechnik z dnia 28.06.1970 r. nr 26/488



PROZODIA

Płaskostopi niemości bez twarzy, negatywami uśmiechów pieczętują krzyk rozdartej gałęzi; tylko flagi pieczętują się wiatrem w równoległym szeregu pionów, w powidokach zieleni rozlano antymonię bieli — od pancernych szyb śnieżnobiałych limuzyn odskakują pragnienia, pogrąża je chromowany blask bibelotów, oskubany ptak milczał wkłójony śnieżnią w trójkąt attyki; wpięrow spadła korona, potem toczyły się lawiną głowy roz-

bryzgując zieloną krew w oczy oprawców; szli dalej procesją w kierunku świątyni, ciężkie od potu flagi chyliły się ku ziemi — jak wyprute wnętrzności zwiślały poddane nieubłaganej sile ciążenia. Wiatr odszedł bez pocałunku, zawstydzony, pomiędzy wyciągnięte z oczu macki ciekawości — w szpalerze motocykliści groźną bielą szyszaków syją kwiaty pod ogumione stopy sprawdzonego na poligonach wozu, twarz spoza szmelcowanego szkła podaje sztuczną szczękę uśmiechu, brudny

zmarszczek jak smugi bicia kreślą formułę magii ssania czerwonych krwinek z napeczniałych robotą mięśni, srebrna aureola włosów chłodną szklistością negatywu odbita w sercu, gładkość łysiny zestawiona z gruzłowatą myślą. Starzec dłoń z sękami władzy podnosi na znak pokoju a po drugiej stronie już czają się mroczne ptaki o pazurach namaszczone różanym olejkiem, przystrojone w papuzie pelerynki, wzniosłą utytłane w krzepnącą krew skrzydła i ciężkim lotem poszybują nad karki spięte wspólnym wysiłkiem. Pod złotą batutą przesypują się z dala dźwięki, ptak smutno rozłożył białość skrzydeł, chciał sprawdzić autentyczność krwi, którą platerowano kazalnica a z tyłu już czekali w garniturach dobrze odżywieni mężczyźni, marynarki wypychały im stalowe serca w każdej chwili gotowe do życia — czekali; skupione negatywy twarzy, zimne odciski oczu, gruzłowate konary ramion zwiślały beczynnie, przecieć z daleka szła wiosna, mieli jeszcze sporo czasu — i zaraz ciche mruczenie motorów, błękitne warkoczyki kapryśnie rozsiewają mdły zapach skostnienia, w chwilę wszelki ruch zamiera, materia przeżywa kolejny etap swojej

śmierci. I oto wspomagany elektroni-
mi głos spiralą obejmuje tłum, chlasta
na odlew, z flanki, młynem z góry
siecze, tnie wyszukując skrawek nie-
osłoniętej argumentami przestrzeni;
wpierw posłano ich na nauki, potem
przebywali kwarantannę, musieli oczy-
ścić wnętrzności i ciało, przedestylować
mózg, przewentylować płuca, splaszczyć
stopy a serca wymienić na chłodnicze
agregaty, potem przenicowano im skó-
ry, wylupano oczy wstawiając kun-
sztowne na tranzystorach protezy, a kie-
dy byli już gotowi, zamknięto w sali
bez okien o drzwiach bez klamek, aby
wiedzieli, co czynić dalej, więc poczęli
przerzucać rolki ferrytowej pamięci,
stare o postrzępionych przestarzałych
taśmy, przykurzone szczątki dawnych
aniołów, zardzewiałe obietnice, cuchną-
ce plastry zapewnień, w zakamieniałych
komórkach odnaleźli efemeryczne mu-
mie kamiennych pszczoł, nie chuchali,
a ustawili wszystkie pod ścianą, kieru-
jąc w oczy wiązki laserowego światła,
potem poszły w ruch pięści — wszyst-
kie przyznały się do winy, żadna jednak
nie wyraziła gotowości współpracy,
więc wmurowano je głowami w sufit
— lecz kartki kredowego papieru były

*dalej puste, dopiero głód i pragnienie
nakreśliły blaski słońca, miód sączył się
łagodną smużką, złote włosy umykały
kajdankom, nawet brzęk wmurowanych
kamiennych pszczoł stał się muzyką,
wtedy uchylono drzwi: w szczelnym
pancerzu frazesów logiki wyszukuje
najpłytsze wżery, draży, rozwierca,
rwie, szarpie, chłoscze, biczuje, bębni,
kroi i przegrywa z milczeniem powie-
trza, zastygłego nad szumem lasu, a z
tyłu blaszanymi rękawicami oklaskują;
sięga więc do kieszeni i sypie za siebie
upadłe uprzednio w błoto gwiazdy, po-
tem schodzi w garniturze nietykalności
na płaskostopych szczudłach. I zaraz
podpełza ogumiony batyskaf, w wia-
nuszku okamieniałych motocyklistów,
mruczą motory — ciężkie od czerni
ptaki niezgrabnie kołują nad spiętymi
w wysiłku karkami, cięciwy tym razem
także wytrzymują, chociaż nieustannie
je napina nieskończoność płynących w
eter fal, elektromagnetycznych korpu-
skul, grad płynący z anten siecze nie-
zliczonością sproszkowanego szkła —
płyną dalej zaokludowane w aerozolach
miodu stężale chłodem lzy, jak płatki
kwiatów rozścielają perłowy dywan pod
stopy obute w mokasyne szyte frazeo-*

logią; wśród szpaleru płynie orszak la-
kierowanej stali, blask niklowanych
klamek zatrzymują przez moment w
oczach ludzie, potem gasną twarze jak
dopalające się na ołtarzach świece, pod-
czas gdy tamci pełzną pod wrota świą-
tyni, w ciepłe kolumnady, aby legnąć
w wyścielanych puchem złotym taber-
naculach, zamknąć się w okienkach
monstrancji, zmumifikować na czas
nieograniczony. W oceanie wonności
roztapiają ciała, chwałą podniesioną do
nieskończonej potęgi wycierają okwa-
wione płaskostopie jak pot ukryty pod
pęciną przeznaczonego do rzeźni konia,
a w plafonach uwieszone ptaki gubią
pióra ciężkie od krwi i białe niby śnieg
w grodzi serca antarktydy, gołe głowy
hardo wznoszą w przyszłość, niepotrzeb-
ne są przecież korony pokryte kurzem
— spoczywają teraz na poduszkach w
muzealnych gablotach, gdzie starzec od-
gania od nich wspomnienia motylem
wyskubaną ze strusich odwłoków, kie-
dy tamte chowały głowy w piasek,
przed kolorową szatą wiosny.

TUTMOZIS

Rzeźbiarski rekonesans

Władysław Tumkiewicz Czytel-
nik SIGMY zdążył już poznać
z obszernego omówienia jego
sylwetki twórczej (Sigma nr
2/1968) a także z licznych artykułów
prasowych.

Wieloletni pracownik naszej Szkoły,
pedagog, rzeźbiarz, w ostatnim okresie
odniósł cały szereg sukcesów w kraju
i poza jego granicami. Po realizacji
pomnika Mickiewicza w Polanicy i po-
mnika Świerczewskiego we Wrocławiu,

Z ogólnopolskiego pleneru w Woronku

Fot. W. Stan



Władysław Tumkiewicz przy pracy

Tumkiewicz zostaje pierwszy raz za-
proszony do NRD, gdzie wykonuje po-
mnik łuzickiego poety, Berta-Cieżyń-
skiego. Jest to monument, w którym
artysta połączył granit z brązem. Po-
nadto Tumkiewicz włącza się czynnie
w krajową twórczość rzeźbiarską po-
przez uczestnictwo w tradycyjnych już
plenerach rzeźbiarskich w Orońsku.

W ubiegłym roku (1970) został za-
proszony na Międzynarodowe Sympo-
zjum Rzeźbiarskie, odbywające się w
węgierskiej miejscowości Villány. Wy-
konał tam kompozycję zestawiając dwa
zróżnicowane kolorem i fakturą bloki
kamienia. W tym samym roku w kon-
kursie ogłoszonym przez redakcję pi-
sma „Życie i Myśl” zdobył pierwszą
nagrodę za głowę biskupa Nankera,
kuta w nefrycie.

Obecnie artysta ponownie wybiera się
na Węgry, aby wziąć udział w monu-
mentalnej realizacji, umiejscowionej w
okolicach Villány.

(sh)



Na zdjęciu: Janina Szczypczyńska

PO WEWNĘTRZNEJ STRONIE SPIRALI

nia, marzenia, radości i smutki; i poprzez to poznanie zrozumieć świat, jego sens, funkcje i przeznaczenie.

Takie właśnie refleksje nasunęły mi się zaraz po opuszczeniu pracowni rzeźbiarskiej Janiny Szczypczyńskiej. Świat Szczypczyńskiej to świat realny, ten który jest w stanie zobaczyć, dotknąć wreszcie odczuć jego napięcia. Artystka nie poszukuje wydumanych nierealnych form, nie buduje przestrzeni dla samego jej wypełnienia — te formy organizujące przestrzeń są formami wyjętymi z marazmu współczesnego życia, z ginącej nieustannie przyrody, z mitów i dawnych legend, które zupełnie

nieprzypadkowo doskonale funkcjonują i dziś; odnajdują się w postaci niezupełnie jeszcze zatartych śladów w psychice odbiorcy byle tenże tę psychikę jeszcze posiadał. Przecież nasza świadomość wyszedłszy z punktu, w którym pracownik wzięwszy do ręki kij uświadomił sobie, że w ten sposób przedłuża jej zasięg, zatacza coraz to szersze kręgi, rozwija się pod postacią pęczniejącej z każdym wiekiem spirali. Stwierdzenie to można również odnieść i do sposobu narastania świadomości twórczej Janiny Szczypczyńskiej.

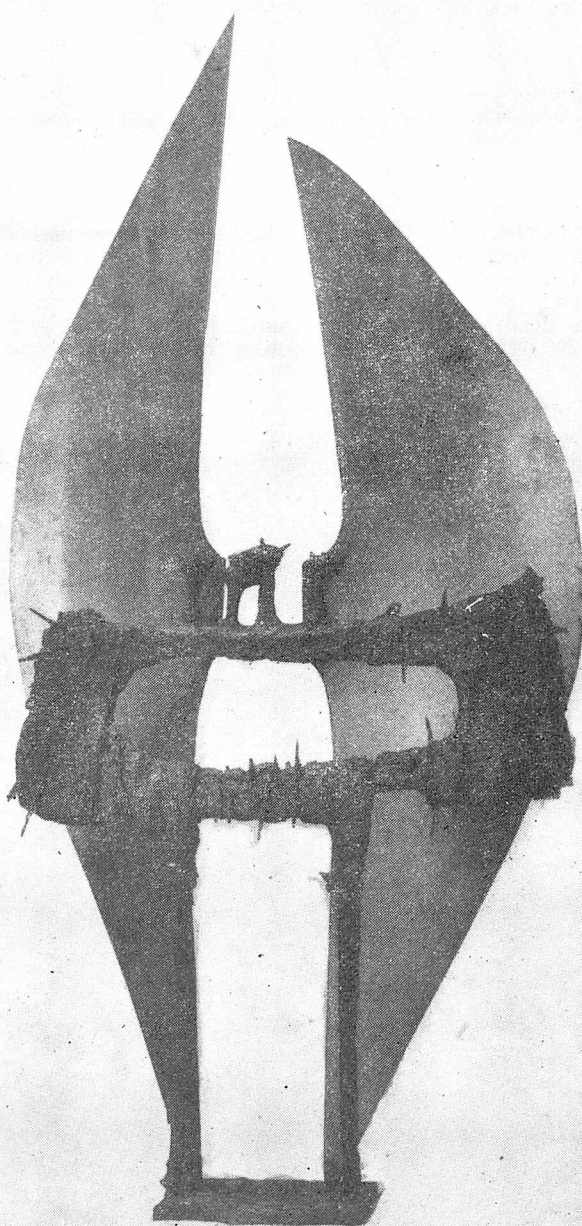
Wpierw jest zdarzenie, fakt zaistniały obiektywnie, poza udziałem artystki

Ciągle, nieustannie, nadal, zawsze... odwieczne problemy, być albo nie być, tworzyć lub jedynie kontemplować, wreszcie wnikać w otoczenie albo też alienować się? Całe sterty pytań przed nami, wielość w jednym niepowtarzalnym życiu, męka, radość, klepsydra czasu coraz bardziej wypełnia dolny zbiornik; zanim zdążymy przyjść, już musimy szykować się do odejścia — a jednak warto! Po stokroć — warto!

Jesteśmy osamotnieni w stadzie, samotni a zarazem czuli, wrażliwi jak najczulsze sejsmografy zdolne zanotować miniaturowe drgania tych, co przecież istnieją poza naszą powłoką, więcej — tych, którzy tak samo jak my noszą w sobie wszechświat. Ponadto: powiązani jesteśmy ze sobą wielorakimi nićmi, wspólnym losem, radością, tragedią, chwałą i upadkiem — przecież nadal tkwimy w społeczności, jesteśmy jej elementarnymi cząstkami jak atomy w krystalicznych strukturach; więc tworzymy świat a świat tworzy nas, nadaje nam właściwą formę, barwę i fakturę, dłuham swoim odrzuca wszystko zbędne — brud, narośla, zrogowaciały naskórek aż do czystej, gorącej krwi. Tutaj jedyny warunek: jesteśmy ludźmi a nie konfiguracją aminokwasów, wody, mineralnych soli i węglowodanów. Człowiek? — powiedział ktoś — to brzmi dumnie! To brzmi także żałośnie. Gdzieś w Wietnamie człowiek strzela do człowieka, morduje, pali, jak drapieżny ptak atakuje z góry, z wody, z podziemi, zewsząd; człowiek podkłada nogi, niszczy, kopie dołki pod innym człowiekiem, wspina się po trupach na coraz to wyższy szczebel kariery, dąży do władzy, do zniewalania innego człowieka!... Ale tenże sam człowiek naraża swoje życie dla innego człowieka, więcej — niejednokrotnie dla ratowania życia zwierzęcia, jest łagodny, rozczula się nad pięknem przyrody, nienawidzi wszelkie przejawy zła, uwrażliwiony jest na dźwięk, formę i kolor, słowem — jest aniołem i buduje świątynie dla tych, co kiedyś wstawili się tym czy innym dla wspomnienia ludzkości — konflikt, kontrowersje, bezsila, a jednak?

Właśnie: a jednak są ludzie, którzy potrafią odnaleźć dość sił, aby spojrzeć nie tyle w innych, co w siebie a poprzez to głębiej i jaśniej zrozumieć innych, ich naturę, najgłębiej ukryte pragnie-

J. Szczypczyńska, Skrzydlaci



(wypadek, tragedia narodu, niesprawiedliwość itp.), ale fakt ten wsiąka w świadomość artystki wywołując już subiektywny protest, a ogólniej — reakcję. Jest to więc punkt wyjścia, powód i właściwie należałoby oczekiwać dzieła — artystka jednak poszukuje symbolu, który w świadomości człowieka potrafiłby znaleźć dla siebie miejsce; więc jakby się cofa przebiegając wstecz historię ludzkości, czyta, studiuje prace naukowe i legendy, podania, mity... I z tym bagażem, wzbogaconą, powraca poszukując po drodze kształtu. Tu też przechodzi całą ewolucję, od pewnego rodzaju szczegółowości do syntetycznych uogólnień.

Tak właśnie powstała niesłychanie ekspresyjna rzeźba pt. Prometeusz — dalekie skojarzenia a jakże bliskie, bo inspiracją tego dzieła była wojna w Wietnamie — heros, który litując się nad losem człowieczym dał ogień, pół-bóg półczłowiek, który drogą za tę swoją dobroć musiał zapłacić... ogień, który grzeje, pomaga człowiekowi we wszystkich niemal dziedzinach życia, ale także pali, niszczy; i ci ludzie, uczeni, pracujący, wysilający swój umysł

nad nowymi sposobami wyzwalań energii, kolejne wcielenia Prometeusza... ci ludzie oby też nie zapłacili tak jak on drogo. Jakaż wspaniała metafora, wieloznaczność i subtelność w przenoszeniu idei, a zarazem jaki ogromny ładunek emocji!

Ceramika i metal — to dwa najbardziej ulubione przez artystkę tworzywa. Metalowe wlewki, postrzępione formy postaci, uskrzydlonych, tak jakby ktoś brutalną ręką ściągnął z nich skórę i zamroził sople rozciągniętej nagłym ruchem krwi — rzeźby tchnące wewnętrznym dramatem.

No i wreszcie wytchnienie — drobne formy polichromowanych ptaków — pełne, dostatnie, w pióropuszach swojego godowego upierzenia, wojownicze, zadziorne i zalotne.

Nie ludzę się, że w tak krótkim szkicu wyczerpałem całość problematyki twórczej Janiny Szczepczyńskiej; mam jednak nadzieję, że te uwagi przyczynią się przynajmniej w pewnym stopniu do zrozumienia rzeźby tej niewątpliwie interesującej artystki.

ŚLAWOMIR HULANICKI

JAN STREHL

Wiersze

PRZEGRANY SEMESTR

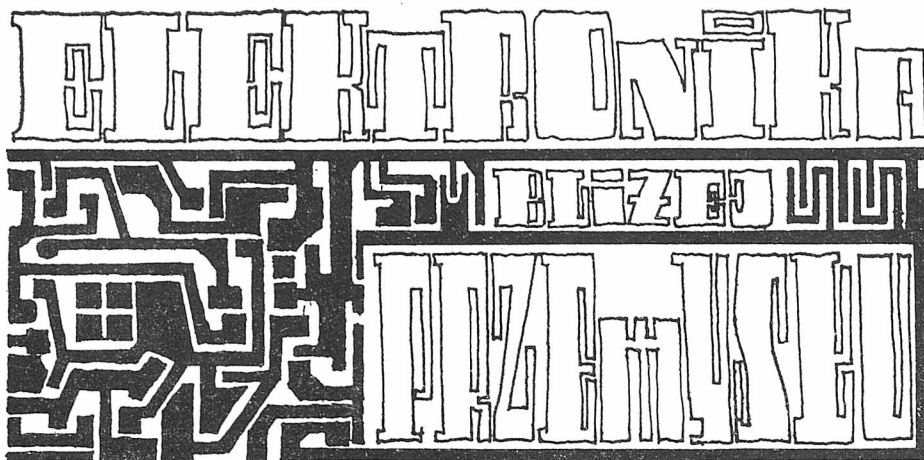
Odeszła bo miałem czarny charakter
Odeszła bo byłem łajdakiem
Nie mogłem czuć co dla niej proste
A przecież nie chciałem
Broniełem się tylko przed światem
Wołałem ludzi szukając życia
Myślałem że Ona
Dlaczego nikt mi nie pomógł
Czy wszyscy są obojętni
Czy nie chcą pokazać twarzy
Tak
Wszyscy obłudni przed sobą i światem
Grają swe role tłumiąc uczucia
Byłem jak oni
Zawzięty w pracy
Zwykły w miłości
Wesoły przy szkle
Wszyscy myśleli
Równy i klawy
A ja wiedziałem że
To nie to
Śpiewałem grałem chciałem napisać
Szukałem błądząc w pustych ulicach
Poznałem ją wśród tłumu mieszczan
Był zwykły dzień
A dla mnie wielki
Chciałem być dobrym czułem się świętym
Słuchać rozkazów
Zabić szaleństwo które
Płonęło w myślach i ciele
Wszyscy myśleli
Tak to Ona
Spętała wreszcie dzikiego zwierza
Myśleli logicznie
Jak mieszczenie
A ja K Ł A M A Ł E M
To moja wina że dziś
U M A R Ł E M.

KAPŁANKA

Gdybyś zechciała być kapłanką
W świątyni co ma jedną bramę,
Gdy raz w nią wejdziesz,
To pamiętaj —
Że wszystko jest tam zakochane.
I płonie tylko jedna świeca
I jedno okno jest u szczytu
I tylko możesz raz poprosić,
O jedną miłość.
A gdy wysłucha Cię bogini
I skinie Ci łaskawie ręką,
To zostaw jeden grosz na tacy
I wyjdź,
I szukaj oczu chłopca,
Co ma w nich miłość i szaleństwo
On będzie Twój po wszystkie czasy
I podaruje Ci na zawsze,
Swe wszystkie złe i dobre dni
I będzie mówił Ci, kochana.
A w jego oczach będziesz Ty.
Ale gdy zechcesz dzielić miłość
I będziesz szukać innych oczu,
To zgaśnie świeca i nie znajdziesz
Już nigdy drogi do świątyni
A w oczach chłopca będzie pustka
I zimna rozpacz, i zaduma,
To będzie znaczyć,
Że są martwe,
Że razem z tą miłością —
Umarł.



J. Szczepczyńska, Prometeusz



Skupienie nielicznej w początkowym, powojennym okresie kadry pracowników naukowych na ówczesnym Wydziale Łączności Politechniki Wrocławskiej oraz podjęcie kształcenia studentów w tej dziedzinie miało chyba decydujące znaczenie dla jej rozwoju. Działalność dydaktyczna i naukowa tego okresu doprowadziła w ciągu kilku lat do znacznego wzrostu liczby pracowników naukowych wydziału oraz skierowania licznej rzeszy inżynierów i magistrów-inżynierów różnych specjalności do zakładów elektronicznych Dolnego Śląska. A trzeba dodać, że Wydział Elektroniki (Łączności) był jedynym w Polsce południowej; nie miał takiego wydziału ani ośrodek gliwicki, ani krakowski. Wrocławscy absolwenci zasilali w znacznym stopniu kadry elektroników również tego regionu. Jednak większość pozostawała na Ziemiach Zachodnich.

Obecność tej kadry sprzyjała rozwojowi już istniejących na Dolnym Śląsku zakładów przemysłu elektronicznego; Zakładów Radiowych DIORA w Dzierżonowie; przyczyniła się ponadto w znacznej mierze do powstania wielu nowych zakładów produkcyjnych, jak Wrocławskich Zakładów Elektronicznych ELWRO, Zakładów ELPO i Zakładów DOLAM. Dzięki niej powstało również wiele placówek naukowo-badawczych elektroniki na naszym terenie — oddziałów (w tej chwili samodzielnych) Instytutu Łączności (IL), Przemysłowego Instytutu Elektroniki (PIE), Przemysłowego Instytutu Automatyki i Pomiarów (PIAP) i innych.

Rozwijający się przemysł i jego zaplecze naukowo-badawcze wywierały z kolei istotny wpływ na rozbudowę, organizację i działalność naukowo-dydaktyczną Wydziału Elektroniki. I tak: w roku 1950 10 absolwentów, którzy rozpoczęli studia w naszej Uczelni, otrzymało pierwsze dyplomy w dwóch specjalnościach. Były to: radiotechnika i teletechnika. Obecnie rocznie wydaje się tu ok. 150 dyplomów w ośmiu specjalnościach. Gdy na początku lat pięćdziesiątych studiowało elektronikę ok. 250 studentów (wszystkich lat), to obecnie jest ich ok. 1660.

Ścisła więź z przemysłem i gospodarką narodową, nawiązanie długofalowej współpracy — spowodowały wykrystalizowanie się na wydziale zespołów (można by je nazwać „szkołami”), które stworzyły sprzyjającą atmosferę do prowadzenia badań naukowych i dydaktyki w określonych kierunkach a swoimi osiągnięciami umożliwiają dalszy ich rozwój. Do takich zalicza się zespół kierowany przez prof. Zygmunta

Szparkowskiego i prof. dra inż. Jerzego Bromirskiego, który poprzez dwie specjalności: automatyki oraz maszyn cyfrowych — przygotował kadry dla coraz szerszego wprowadzania automatyki w przemyśle dolnośląskim oraz uruchomienia i rozwoju produkcji maszyn cyfrowych. Specyfiką wrocławską w tym zakresie jest prowadzenie prac naukowo-badawczych nad zastosowaniem maszyn cyfrowych w kompleksowej automatyzacji.

O wypowiedź prosimy dyrektora instytutu — prof. **ZYGMUNTA SZPARKOWSKIEGO**:

— Instytut Cybernetyki Technicznej włącza się przede wszystkim aktywnie do realizacji pięcioletniego państwowego planu badań naukowych pod egidą Komitetu Nauki i Techniki oraz do współpracy z Instytutem Automatyki PAN. Prowadzone prace mają charakter tak zwanych badań podstawowych.

Obok tego instytut, na podstawie zawartej umowy, pracuje dla potrzeb przemysłu. Wymienić tutaj można prace dla przemysłu węgla brunatnego nad automatyzacją i sterowaniem układu K.T.Z. (koparka, taśmociąg, zładownia); dla Zagłębia Miedziowego — nad automatyzacją, sterowaniem i zarządzaniem. Są to prace wieloletnie i charakterystyczne dla hasła wiodącego Instytutu Cybernetyki Technicznej — „Systemy sterowania i przetwarzania informacji”. Wymagają one współpracy z innymi instytutami Politechniki i taka współpraca istnieje.

Z wykonywanych lub wykonanych prac, wymagających również dużego zaangażowania naukowego, można wymienić specjalistyczne maszyny analogowe dla biur projektowych w zakresie projektowania gazociągów oraz ustalania warunków glebowych przy pracach odkrywkowych, elektroniczny kalkulator itp.

I-6 wydaje rocznie około 130 dyplomów w specjalnościach automatyka i maszyny cyfrowe. W tej dziedzinie zajmuje chyba pierwsze miejsce w kraju.

.....

Rozmawiamy z prof. drem inż. **JE-RZYM BROMIRSKIM**:

— Panie Profesorze, jakie warunki zdecydowały o powstaniu kierowanej przez Pana specjalności?

— W roku 1959 opuścili mury naszej Uczelni pierwsi absolwenci ze specjalnością techniki cyfrowej. Powiększenie liczby studentów na tym kierunku doprowadziło do powstania w 1963 roku Katedry Konstrukcji Maszyn Cyfrowych.

Jednocześnie w 1959 r. rozpocząłem na skutek porozumienia między Rektorem prof. drem inż. Dionizym Smoleńskim a dyrektorem ELWRO pracę w tych zakładach jako zastępcę głównego konstruktora do spraw maszyn matematycznych. Pod moim kierunkiem powstawały pierwsze modelowe maszyny: Odra 1001 i Odra 1002. Praca ta sprowadzała się do organizacji zaplecza technicznego, biura konstrukcyjnego i szkolenia kadry. Poza mną współpracowała również z „Elwro” grupa elektroników i matematyków.

— Jaki jest zakres (kierunek) działalności dydaktycznej i naukowej zespołu kierowanego przez Pana?

— Należy stwierdzić, że studia w zakresie maszyn matematycznych są jednymi z dwóch prowadzonych w Polsce (drugie prowadzi Politechnika Warszawska). Absolwenci tego kierunku rozsiadli się po całej Polsce, ale większość z nich pozostała na terenie Dolnego Śląska (ELWRO, PIAP, ZETO). Obecnie pracujemy nad zagadnieniami systemów cyfrowych, przy czym prace w tym zakresie są nowatorskie nie tylko w zasięgu naszego kraju. Warto może podkreślić dużą dynamikę tego kierunku, charakteryzującą się zarówno wzrostem liczebnym kadry, jak i absolwentów.

Włączenie organizacyjne kierunku maszyn matematycznych do Instytutu Cybernetyki niewątpliwie wiąże prace naukowe również i z zagadnieniami wprowadzenia maszyn cyfrowych do automatyzacji procesów produkcyjnych.

— Czy organizowano w tym okresie jakieś kursy, mające na celu zaznajomienie pracowników licznych zakładów przemysłowych z nową aparaturą?

— Tak. Byłem nawet jednym z inicjatorów takich kursów w zakresie eksploatacji i programowania maszyn cyfrowych, prowadzonych przez Wojewódzki Oddział NOT-u. Przed wrocławskim ośrodkiem stało zadanie przygotowania specjalistów z tej dziedziny. Wśród 750 słuchaczy, którzy w trzech ostatnich latach uczęszczali na kurs z ETO (Elektroniczna Technika Obliczeniowa) — obok 414 magistrów i inżynierów z kraju — byli specjaliści z NRD, Czechosłowacji, ZSRR, Węgier, Rumunii, Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej i wielu innych krajów. Możliwości szkolenia wrocławskiego ośrodka w zakresie ETO wzrosły Elektronicznych Maszyn Matematycznych. Placówka ta, wyposażona obecnie w maszyny „Odra-1204”, Odra-1003” i maszynę analogową „Elwat-1”, uruchomiona została w 1968 r. Zajęcia na tych kursach prowadzi między innymi pracownicy naszego instytutu.

.....

Innym zespołem ludzi kieruje prof. dr inż. **ANDRZEJ JELLONEK**, tworząc wrocławską „szkołę” metrologii elektronicznej. Istnienie tej „szkoły” umożliwia wyjątkowo dobre przygotowanie metrologicznie absolwentów wydziału. Największe znaczenie mają jednak prace badawcze w zakresie elektronicznego miernictwa cyfrowego, konstrukcji, zastosowań naukowych i przemysłowych tej grupy elektronicznej aparatury.

— Czy rzeczywiście specjalność, jaką zajmuje się Instytut Metrologii Elektronicznej jest kierunkiem nauki preferowanym w planach badań naukowych? — z tym pytaniem zwracamy się do profesora Andrzeja Jellonka.

— Tak. Na pewno istnieje tendencja do stawiania na rozwój przemysłu elektrycznego jako na jeden z głównych kierunków rozwoju gospodarki oraz na

związaną z nim metrologię w ogóle a elektronową w szczególności. Są to zresztą ogólnościowe tendencje rozwoju przemysłu, czego najlepszym dowodem i wskaźnikiem wydają się być nakłady bieżące i przewidywane na produkcję przyrządów pomiarowo-kontrolnych, które kształtują się następująco:

	1969	1970	1973
Stany Zjednoczone	773	844	1058
Europa Zachodnia	455	501	

(w mln dolarów)

— O ile mi wiadomo, instytut reprezentowany przez Pana stanowi obecnie największą uczelnianą jednostkę metrologiczną w Polsce...

— Rzeczywiście. Od dawna staliśmy na stanowisku, że dla uzyskania lepszych rezultatów należy połączyć w jednym zespole środki elektroniczne i elektryczne, gdyż są to dyscypliny bardzo blisko ze sobą związane. Tak zresztą robi się w wielu krajach o wysoko rozwiniętej technice elektronowej. Dzięki takiemu postawieniu zagadnienia dostarczamy dla przemysłu ok. 100 specjalistów metrologów w każdym roku, jesteśmy partnerem w pracach badawczych dla wielu zakładów przemysłowych Wrocławia, Dolnego i Górnego Śląska a nawet województwa zielonogórskiego, zakładów, których typ produkcji stanowi podstawę naszej działalności naukowej. Efektem tej współpracy jest podejmowanie długofalowych prac badawczych. I tak do zakładów wytwórczych, z którymi współpracujemy, należą: LUMEL — Zielona Góra, PAFAL — Świdnica, INCO — Wrocław i Pyskowice, ELPO i „Eureka” — Wrocław, „Radiotechnika” — Wrocław, DOLMEL — Wrocław i inne. Z wymienionymi zakładami współpracujemy na wielu płaszczyznach, wykonując najczęściej w zespołach z ich pracownikami prace badawcze, wdrożenia, prowadząc kursy podyplomowe, studia doktoranckie itp.

.....

Dużymi osiągnięciami naukowymi może się również pochwycić Instytut Telekomunikacji i Akustyki, kierowany przez profesora **ZBIGNIEWA ZYSZKOWSKIEGO**.

— Jakimi zagadnieniami zajmuje się kierowany przez Pana instytut?

— Specjalizujemy się w trzech dziedzinach: teletechnice, radiotechnice i elektroakustyce.

W ramach pierwszej z nich zajmujemy się urządzeniami i systemami teletransmisji przewodowej, a więc za-

gadnieniami dotyczącymi sygnałów elektrycznych drogą przewodową oraz centralami elektronicznymi i zagadnieniami zestyków elektrycznych. W tej specjalności nawiązano współpracę z Instytutem Łączności, Zakładami „Teletra” w Bydgoszczy i Zakładami DOLAM we Wrocławiu.

W ramach radiotechniki prowadzimy liczne prace badawcze; nawiązaliśmy współpracę z placówkami naukowymi i zakładami produkcyjnymi, wśród których należy wymienić w pierwszym rzędzie Zakład DIORA w Dzierżonowie w zakresie analizy i syntezy układów elektronicznych stosowanych w radiodiodach, w celu polepszenia ich jakości i usprawnienia technologii. Prowadzimy również prace nad zwiększeniem odporności odbiorników radiofonicznych na zakłócenia elektryczne. Zagadnienie to jest rozpatrywane również od strony źródeł zakłóceń; opracowywane są metody zmniejszenia zakłóceń promieniowanych przez źródła.

Dziedzina, w której jesteśmy w kraju monopolistami, są nadawcze anteny radiowe. Większość zainstalowanych anten radiostacji krótkofalowych w Polsce opracowano u nas, a ukoronowaniem działalności w tym kierunku jest opracowanie anteny dla Centralnej Rozgłośni Polskiego Radia w postaci największego w świecie wolno stojącego masztu o wysokości przekraczającej dwukrotnie wysokość wieży Eiffla.

Jesteśmy również jedynym ośrodkiem w kraju, zajmującym się zagadnieniami spektrometrii mikrofalowej, mającej ogromne znaczenie w chemii i fizyce.

— A jak przedstawia się działalność instytutu w zakresie akustyki?

— W tej dziedzinie jesteśmy jedynym ośrodkiem w kraju, zajmującym się zagadnieniami transmisji dźwięku a więc przetwarzaniem, przesyłaniem i percepcją dźwięku.

— Jak układa się współpraca z przemysłem?

— Do niedawna borykaliśmy się z trudnościami w tym zakresie i współpraca miała charakter dorywczy. Przemysł żądał od nas natychmiastowego rozwiązywania problemów, z którymi nie mógł sobie poradzić. Dopiero od dwóch lat ustalił się ściślejszy związek z zakładami produkującymi sprzęt elektroniczny, głównie z Zakładami DIORA i TONSIL, obejmujący współpracę opartą na planach wieloletnich. Dla tych zakładów będziemy prowadzili prace badawcze w dwóch tematach. Pierwszy dotyczy określenia związku między wielkościami akustycznymi,

mierzalnymi metodami obiektywnymi, a odpowiadającymi tym wielkościom wrażeniami słuchowymi — subiektywnymi. Drugi temat obejmuje ustalenie wpływu poszczególnych elementów głośnika na jego właściwości przetwórcze i opracowanie metody doboru optymalnych elementów. Wymienione zakłady wykazują duże zainteresowanie wynikami podjętych przez nas badań i obiecały szeroką pomoc, a między innymi dostarczenie potrzebnej aparatury pomiarowej. Prace te są bardzo interesujące nie tylko ze względu na ich pionierski charakter; mają również duże znaczenie dla przemysłu.

Daleko w przyszłość wybiegają prace prowadzone w Instytucie Technologii Elektronowej. Mimo to dużą wagę przywiązuje się tutaj i do spraw bieżących. O problemach zakładu i jego związku z przemysłem mówi doc. dr **ANDRZEJ HAŁAS**.

— Instytut nasz zajmuje się rzeczywiście najmłodszymi dziedzinami elektroniki. Zasadniczy jego człon stanowi zakład podzespołów, który powstał dopiero w 1963 roku. Główny nacisk kładzie się na rozwój technologii układów elektronicznych. W ramach tego programu prowadzone będą prace nad metodami wytwarzania planarnych i przestrzennych struktur mikroelektrycznych oraz nad wykorzystaniem technologii wysokiej próżni i technologii wiązek elektronowych do wykonywania układów mikroelektrycznych.

Jeśli chodzi o zakłady, z którymi współpracujemy, to należy wymienić: Wrocławski DOLAM, ELWRO, Przemysłowy Instytut Elektroniki, Dzierżonowską DIORĘ, Krakowski TELPED, oraz ZELES z Iwonicznej koło Warszawy.

— Jakie prace wykonywane są dla tych zakładów?

— Trudno tę sprawę generalizować. Każdy zakład składa własne zamówienie. Najczęściej opracowujemy technologię i konstrukcję urządzeń próżniowych. Obecnie prowadzimy prace dotyczące technologii nakładania materiałów kontaktowych na styki hermetycznych zestyków oraz prace badawcze z zakresu kineskopów do telewizji barwnej. W roku bieżącym przewidujemy również opracowane wspólnie z PIE uruchomienie spawarki elektronowej a także wstępny montaż urządzenia do naświetlania warstw fotoczułych przy pomocy wiązki elektronowej.

MALGORZATA MICHAŁAK
STANISŁAWA SZULC

Klub nie bardzo nowy

Tytuł tej notki jest niewątpliwie przewrotny. Pozostawiłem go jednak, gdyż od remontu klubu upłynęło już sporo czasu i wszyscy zdolali się na tyle przyzwyczaić do dwóch obszernych sal, że chwilowe nawet wyłączenie któregoś z nich powoduje tłok, ciasnotę, kolejki do foteli-ków.

Dwie sale kawiarniane i niewielka bufetowa — świeżo, czysto, miła atmosfera. Można mieć nieco pretensji do projektantów za nazbyt małą przelotowość bufetu (stąd te kolejki tworzące się podczas przerwy między zajęciami

dydaktycznymi), ale uważam, że w pełni rekompensuje je grzeczność i uprzejmość pań z bufetu a przede wszystkim — kierowniczką klubu, pani Ireny Michejdowej. Zresztą pani Irena słynie nie tylko z tego, że potrafi stworzyć niecodzienną atmosferę w klubie — znane są także we Wrocławiu bale, organizowane w naszej Uczelni. A jak wiadomo — udział p. Ireny Michejdowej w organizacji tych imprez jest niepośledni.

Na zakończenie pragnę zwrócić uwagę na jeszcze jeden szczegół działalności klubu ZOZ w Gmachu Głównym;

chodzi mianowicie o wystawy plastyczne. Od wielu lat staraniem pani Ireny organizowane są indywidualne i zbiorowe wystawy malarstwa i grafiki. W ten to sposób utworzył się pewien typ galerii malarstwa i grafiki; galerii działającej w środowisku technicznym, więcej: z dużym powodzeniem w nim funkcjonującej.

W bieżącym roku akademickim otwarcie nowego klubu zainaugurowała wystawa oryginalnych prac malarskich Jadwigi Halickiej. W dniach obchodów 25-lecia naszej Uczelni mogliśmy obejrzeć prace malarskie artystów związanych z Politechniką: Czajki, Poźniaka, Michałowskiej i Jurkiewicza.

(sh)

NARADA ROBOCZA KIEROWNICZEJ KADRY POLITECHNIKI

Na prośbę szeregu pracowników przed rozpoczęciem semestru letniego, odbyła się z udziałem kierownictwa Szkoły narada kierowniczej kadry Politechniki: dyrektorów instytutów, dziekanów, prodziekanów, pełnomocników do spraw studenckich I sekretarzy OOP, przewodniczących rad oddziałowych ZOZ-u kierowników i zastępców studium, dyrektorów i zastępców filii, oraz dyrektorów pionów.

Celem narady było omówienie zadań Politechniki Wrocławskiej na semestr letni oraz dyskusja

Z.S.

Politechnikę Wrocławską odwiedzili: konsul ZSRR w Poznaniu Wiktor Odinokow oraz sekretarz konsultu Igor Baszarin. Podczas spotkania omówiono sprawy związane z pogłębianiem współpracy Politechniki Wrocławskiej z ośrodkami naukowymi Związku Radzieckiego.

Komunikujemy, że w Politechnice Wrocławskiej utworzono Zakład Doświadczalny Aparatury Naukowej i Dydaktycznej.

W najbliższym czasie ukaże się drukiem statut wydziału i filii. Bliższe dane — w następnym numerze SIGMY.

NIE WYKORZYSTANE MOŻLIWOŚCI

Od kilkunastu lat działa w naszej Uczelni pod patronatem ZSP Chór Męski, który po okresach większego lub mniejszego powodzenia obecnie przeżywa kryzys. Pogarszanie się sytuacji w zespole dało się zauważyć na przestrzeni ostatnich trzech lat, wskutek odejścia „starej gwardii”, przy równoczesnym niedostatecznym napływie nowych członków. I tak, jeżeli dwa lata temu, zebranie się 30 osób na próbę nie stanowiło żadnego problemu, obecnie trudno jest zebrać razem 15! W takich warunkach nie ma mowy — oczywiście — o systematycznej pracy.

Rozmawiałem z wieloma osobami na

ten temat i zdziwiło mnie, że większość z nich twierdziła, że chór to przeżytek; w ogóle — „rzecz niemożliwa”. W takim razie zjawiskiem trudnym do wytłumaczenia byłoby wielkie zainteresowanie chórem studentów Politechniki Szczecińskiej. W ich odczuciu należeć do chóru — to zaszczyt. Istnieją tam dwa komplety chórzystów po 150 osób każdy — co stwierdzam z prawdziwą zazdrością — z tym, że są to chóry mieszane. Gwoli ścisłości nadmienię, że w naszej Uczelni najpierw istniał również chór mieszany, który jednakże zredukował się do dzisiejszego męskiego.

W chórze trzeba pracować systematycznie, tzn. uczestniczyć czynnie we wszystkich próbach. Praca dość szybko daje wyniki i sprawia przyjemność po udanym występie. Ponadto corocznie organizuje się podczas wakacji letnich 2-tygodniowy bezpłatny obóz.

Chór w swojej dotychczasowej działalności miał kilkakrotnie nagrania w PR (w tym dla programu zagranicznego), występy wraz z chórem mieszanym w Filharmonii oraz występ w telewizji. Miał też rok temu propozycję wyjazdu do Bułgarii w ramach wymiany, niestety nie można było zebrać 30 osób, co było warunkiem koniecznym.

Jest nas w Politechnice około 11 tysięcy. Czy w tej liczbie naprawdę nie znajdzie się minimum 30 osób, które chciałyby pracować w chórze? Zainteresowanych informuję, że próby odbywają się we wtorki i czwartki (tymczasowo) od godz. 20⁰⁰ do 21³⁰ w sali 204 A-1.

T.K.

KOMUNIKAT KOMISJI DYSCIPLINARNEJ DLA STUDENTÓW POLITECHNIKI WROCŁAWSKIEJ

Przekazuję kolejną informację o prawomocnych wyrokach Komisji Dyscyplinarnej dla Studentów Politechniki Wrocławskiej.

Ukarani zostali:

- Marian BUDZICZ — student III roku Wydziału Mechanicznego; kara nagany za samowolną poprawkę na karcie zaliczeń Studium Wojskowego.
- Witold FILIPAJTIS — student IV roku Wydziału Elektrycznego; kara nagany z ostrzeżeniem wydalenia z Uczelni za udział w bójce w stanie nietrzeźwym.
- Barbara OGŁOZA — studentka III roku Wydziału Górniczego; kara nagany z ostrzeżeniem wydalenia z Uczelni za kradzież igły do podnoszenia oczek na szkodę koleżanki.
- Edward WICZKOWSKI — absolwent Studium Zaocznego Wydziału Mechanicznego; kara nagany z ostrzeżeniem wydalenia z Uczelni za dokonanie samowolnych poprawek na protokołach egzaminów wstępnych w czerwcu 1970 roku.

Zawiadamiam ponadto, że na podstawie art. 72 ust. 1 z dnia 5.XI.1958 r. o szkolnictwie wyższym, decyzją JM Rektora Politechniki Wrocławskiej, w roku 1970 zostali wydaleny z Uczelni:

- Krystyna GOŁĄB — studentka IV roku Wydziału Inżynierii Sanitarnej — nie powróciła z pobytu czasowego we Francji, dokąd otrzymała wkładkę paszportową.
- Feliks NIEWIADOMSKI — student IV roku Wydziału Mechanicznego — nie powrócił do kraju z pobytu czasowego w Jugosławii, dokąd otrzymał wkładkę paszportową.

— Krzysztof SKÓROWSKI — student II roku Wydziału Mechanicznego (Filia w Wałbrzychu) za dokonanie czynu z art. 156 § 1 KK (ciężkie poobicie).

— Piotr WABIK — student II roku Wydziału Inżynierii Sanitarnej — za dokonanie przestępstwa z art. 168 KK.

— Elżbieta WRONA — studentka II roku Wydziału Inżynierii Sanitarnej — nie powróciła do kraju z pobytu czasowego w Jugosławii, dokąd otrzymała wkładkę paszportową.

Przewodniczący Komisji

Doc. dr inż. ALFRED DZIENDZIEL

ŁÓDZKIE KONFRONTACJE

Stary teatr studencki „padł” już dawno — wyeksploatowano z niego świeżość treści, której był nośnikiem, chociaż posługiwał się przy tym formą tradycyjną. Akceptowaliśmy to narzędzie, ponieważ sam w sobie teatr studencki był pewną nowością, był sukcesem. Ale to czasy dawne — czasy świetności „Kalambura”, „38”, „STG”, „Gongu” i innych teatrów studenckich.

Łódź okazała się miejscem kompromitacji tej formy studenckiej wypowiedzi w czasach obecnych.

Współczesny teatr studencki — to rezygnacja z mechanizmów teatru klasycznego — profesjonalnego, ponieważ wszystkie treści leżące w sferze dociekań intelektualnych nas, młodych, podane tymi środkami, wydają się nieszczerze — obrosłe metaforycznym grzybem. To przyczyna krachu teatrów wyznających tradycyjny formalizm.

Teatr „STU”, festiwalowy, laureat, okazał się modelem. To nie jest spektakl, ale cała formuła teatru studenckiego — jego strony formalnej i spekulacji intelektualnych. Właściwość przyjętej drogi oraz możliwość wypowiedzi w ramach tej formy potwierdziły spektakle „8 DNIA”, „77” i inne, które w festiwalu nie uczestniczyły. Taki teatr może nazwać się studenckim, ponieważ obecnie samo pojęcie „teatr studencki” określa zjawisko będące atakującym, prowokującym do wypowiedzi, zmuszającym do myślenia. Teatr współczesny, teatr faktu, teatr publicystyczny.

Nie powinno obecnie mieć miejsca nawoływanie: „teatr studencki — głosem postępu”, czy podobne — dzisiaj winno to być adekwatne pojęcia, nie mogące istnieć w żadnych innych relacjach; tu właśnie znakomicie mieściły się teatry: „STU”, „8 DNIA” i „77”. One stanowią nadzieję.

Teatrów „STG” „GONG-2”, „38”, „KALAMBUR” itp. nie można nazwać studenckimi — to miejsca indywidualnych dociekań — mniej lub bardziej sensownych i zawsze estetycznych. Fakt, iż organizacja studencka patronuje wymienionym zespołom, nie powinien upoważniać ich do takiej nazwy — jest to w czasach obecnych zwykła „kradzież”. Określenie miejsca i pozycji dociekań intelektualnych młodzię studenckiej i jej stanowiska wobec otaczającej rzeczywistości przesunęło się z abstrakcyjnej nazwy (administracyjnej dziś) teatru, na pojęcie „teatr studencki”.

Wydawałoby się, iż krzywdę teatr „KALAMBUR”; „W rytmie słowa” jest w części podporządkowane powyższej regule, ale za dużo tam metafory, będącej w pierwszym rzędzie elemen-

tem estetyzującym, za dużo teatru profesjonalnego.

Teatry tego typu powinny się usamodzielniać. Po prostu dlatego, że korzystają z całego dorobku teatru klasycznego i obok niego ich miejsce. Korzystanie z płaszczyka studenckiego, „szeleszczącej” a nie wymagającej otoczki organizacji studenckiej, krzywdzi wszystkich — i teatr studencki i jego odbiorców. Tych ostatnich — powiedziałbym nawet — kaleczy.

STANISŁAW LOSE

SPOD ZNAKU MARSA

W finale centralnym Studenckiej Spartakiady Sportów Obronnych, która odbyła się w czerwcu ubiegłego roku, męska reprezentacja Politechniki Wrocławskiej zajęła pierwsze miejsce w punktacji ogólnej, zdobywając tytuł Mistrza Spartakiady i Puchar Przechodni Ministra Obrony Narodowej. Reprezentacja kobieca uplasowała się na piątej pozycji. W klasyfikacji łącznej zespołów kobiecych i męskich zajęliśmy pierwsze miejsce w kraju.

Chcemy obronić zdobytą pozycję.

Zwracamy się do wszystkich studentek i studentów naszej Szkoły o masowy udział w Spartakiadzie Uczelnianej. Na podstawie wyników Spartakiady Uczelnianej zostanie wyłoniona reprezentacja, która będzie broniła naszej wysokiej pozycji.

W najbliższym czasie w gablotach i na tablicach informacyjnych na terenie Politechniki ukażą się dokładne informacje na temat Spartakiady.

Uczelniana Komisja Organizacyjna Spartakiady Sportów Obronnych

STUDENCKIE WSPÓŁZAWODNICZTWO W PRACY I NAUCE SPOŁECZNEJ

Socjalistyczna szkoła wyższa winna kształtować właściwy stosunek studentów do nauki oraz wyrabiać nawyk wzorowego spełniania funkcji zawodowych i społecznych.

Działalność na rzecz poprawy wyników w nauce, podnoszenie sprawności nauczania, kształtowanie aktywnych postaw studentów dobrze uczących się, jest celem organizacji młodzieżowych działających w Szkole. Z tą myślą w naszej Uczelni, podobnie jak w większości szkół wyższych, zorganizowano przez rady uczelniane ZSP i ZMS konkurs na jak najlepsze wyniki w nauce i pracy społecznej. Instancje naczelne organizacji młodzieżowych w porozumieniu z Ministerstwem Oświaty i Szkolnictwa Wyższego, Ministerstwem Zdrowia i Opieki Społecznej, Ministerstwem Kultury i Sztuki, przewodniczącym Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki — opracowały ramowy regulamin studenckiego współzawodnictwa.

Współzawodnictwo prowadzone jest w następujących grupach:

- indywidualnie wśród wszystkich studentów Politechniki Wrocławskiej;
- dla grup I-go, II-go, III-go roku (tam, gdzie jest to możliwe współzawodnictwo należy kontynuować na latach starszych).

Inicjatorami współzawodnictwa w Politechnice Wrocławskiej są: instancje organizacji młodzieżowych w porozumieniu z władzami Uczelni.

Uroczyste ogłoszenie współzawodnictwa, jak również zakończenie poprzedniego, nastąpi podczas specjalnej uro-

czystości z udziałem władz Szkoły w terminie 10-17 listopada każdego roku akademickiego.

Z. S.

NASI NAJLEPSI



ARTUR MACIĄG jest studentem IV roku w Instytucie Technologii Nieorganicznej i Nawozów Sztucznych. Pełni funkcję kierownika Wydziału Ogólnego ZU ZMS.

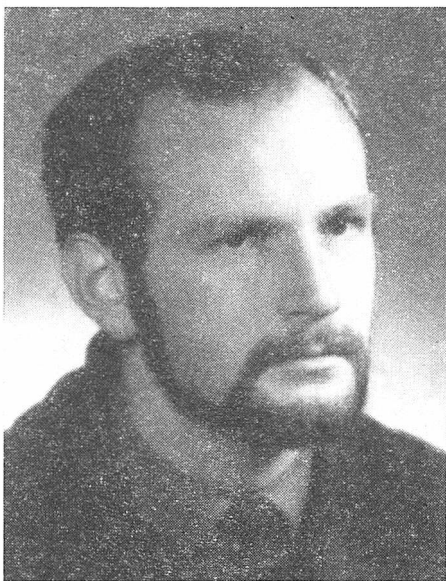
Ostatnio uznany został za najlepszego studenta w swoim instytucie i w związku z tym poprosiliśmy go o krótki wywiad:

- Czy dużo pracy kosztowało Cię osiągnięcie tego tytułu?
- Nie sędzę. Nie lubię się uczyć a więc uczę się właściwie przed samymi ćwiczeniami albo w czasie sesji. W sumie dużo więcej godzin poświęcam pracy społecznej. Czasami potrafię cały dzień przesiedzieć w Zarządzie Uczelnianym ZMS.
- Czy robisz to z potrzeby, dla zasady, czy z przyzwyczajenia?
- Lubię tę pracę. Już w czasach szkolnych pasjonowała mnie ona bardzo. Teraz po prostu nie wyobrażam sobie, jak mógłbym się bez niej obejść.
- O ile wiem — byłeś najlepszym uczniem w swoim liceum, teraz jesteś najlepszym studentem. Znakomicie widać godziś te dwie sprawy. Wracając jednak do nauki; czy masz dziedzinę, którą się szczególnie interesujesz?
- Tak. Lubię przedmioty teoretyczne takie jak matematyka, fizyka, mniej pasjonuję się sprawami technologicznymi.
- Jednym słowem — jesteś teoretykiem. Czy zamierzasz zostać w Uczelni jako pracownik naukowy?
- Niestety, nie. Przyczyną są trudności mieszkaniowe.
- Co wobec tego zamierzasz robić?
- Mam stypendium fundowane z Puław i tam prawdopodobnie będę pracował.
- To dziwne. Na ogół bowiem chęć zostania w Uczelni jest bodźcem do osiągania dobrych wyników w nauce. Co wobec tego w Twoim wypadku jest motorem, który sprawia, że masz tak znakomite rezultaty?
- Nie wiem. Chyba pewnego rodzaju rywalizacja i pragnienie pokazania, że nie jestem najgorszy.

- Popadasz wobec tego w skrajności, bo zostałeś najlepszym! O ile wiem z ostatniej sesji letniej Twoja „średnia” wynosi 4,5. Czy miałeś może jeszcze lepsze wyniki?
- Właściwie nie! Na początku studiów był nawet semestr, który zakończyłem średnią 3,2.
- Jakie są Twoje, zainteresowania?
- Moja dziewczyna!
- I ?
- Książki! Zwłaszcza przygodowe. Lubię czytać, coś lekkiego dla odprężenia.
- Czy masz jakieś marzenia?
- Tak — może cokolwiek utopijne. Chciałbym, żeby ludzie przestali pracować dla pieniędzy i zrozumieć, że zasada „Czy się siedzi czy się leży” do niczego w końcu nie prowadzi...
- Cóż. Pozostaje mi wobec tego życzyć spełnienia marzeń. I dziękuję za wywiad.

Rozmawiała:

MALGORZATA MICHALAK



Předstawiamy dziś **JERZEGO ZONIA** najlepszego studenta Instytutu Technologii Organicznej i Tworzyw Sztucznych.

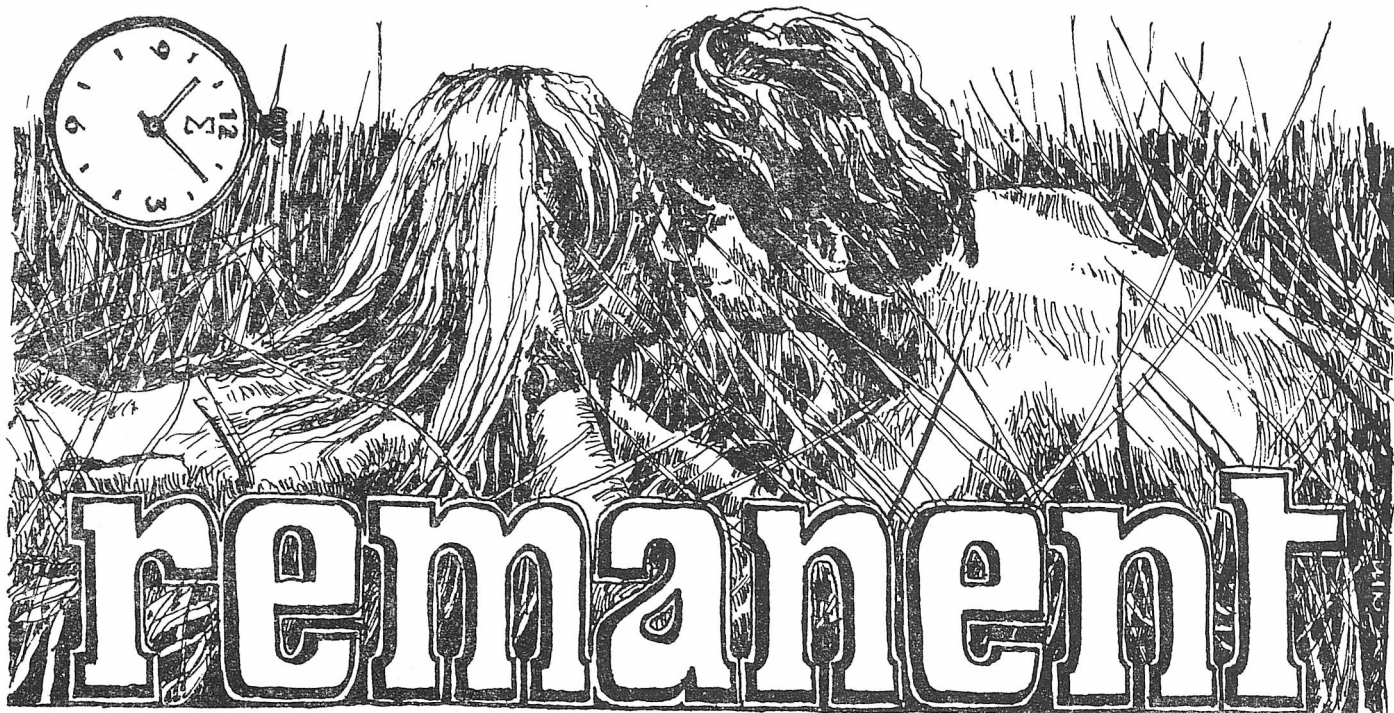
W ciągu 5 lat studiów uzyskiwał znakomite wyniki w nauce (średnia z egzaminów 4,6), czterokrotnie nagrodzony został przez JM Rektora. Obecnie jest stypendystą naukowym w swoim instytucie a niedawno wybrany został na szefa Komisji Nauki RU ZSP.

Może się wylegitymować dużym stażem organizacyjnym. Od początku drugiego roku był starostą i jednocześnie pełnił funkcję wiceprzewodniczącego RW ZSP Wydziału Chemicznego. Po upływie pół roku został wybrany jej przewodniczącym. Na VII Kongresie ZSP był jedynym przedstawicielem Rad Wydziałowych Politechniki Wrocławskiej.

Przez cały okres studiów brał czynny udział w pracach SNS-u.

Jego koledzy twierdzą, że zawsze można na niego liczyć. Z konsekwencją i uporem występuje w obronie tych, którym się stała krzywda. Załatwił już wiele spraw interwencyjnych.

Poza Uczelnią interesuje się sportem: gra w tenisa, jeździ na łyżwach, narciach i poluje (choć — jak twierdzą wtajemniczeni — tu nie powieła swych naukowych sukcesów) i pije pół litra mleka dziennie.



motto:
było jest będzie...
było jest będzie
...było jest będzie
Stanisław Dróżdż

— — — — —
jest
— — — — —

Tykanie budzika uciera ciszę nocną jak kryształki cukru w mózdzierzu. Chrobotania znad sufitu nie udało mi się zidentyfikować — coś jak gdyby przesuwanie sprzętów, czy toczenie taczek z metalowym złodem. Bzdyskanie muchy uderzającej o abażur lampy rozświetlającej blat biurka najbardziej kroilo tę ciszę, której pożałowałem — jej lot następował w nieregularnych odstępach czasowych — a każde uderzenie o abażur odczuwałem jak eksplozję pocisku artyleryjskiego. Zgrzyt klucza w zamku drzwi wejściowych i ich skrzeczący odgłos zniszczyły ciszę doszczętnie. Potem trzask zamykający je. Zzuwanie butów i wzuwanie kapci. Otwarcie drzwi do ubikacji i ich zamknięcie, spuszczenie wody i znowu drzwi — wszystko to powtarza się we mnie wielokrotnie i nieregularnie jak uderzenia muchy w abażur — tylko tykanie budzika jest regularne jak dobrze wyćwiczony krok defiladowy honorowej kompanii wojska.

Jest pokój w całej swojej dwuznaczności, nieprzetłumaczalnej na inne języki.

Jest noc jednoznaczna w swojej ciemności.

było
jest

Jak wiele dwuznaczności we mnie wpisano, jak mało jednoznaczny jestem w sobie niepowtarzalności. Mieszkam w sobie pulsującą, dość wygodnie, w zgodzie z elastycznością ścian mojego ciała, z giętkim kośćcem, i — jako istniejąca całość — wcale nie sprawiam pozornego wrażenia. Na ogół daje się wiarę temu zmaterializowaniu, co nawet udokumentowano nadaniem nazwy: ON.

...było

28 września — nieobecny

13 listopada — nieobecny nie usprawiedliwiony
17 listopada — dwójka z matematyki
5 grudnia — dwójka z historii
9 grudnia — — — — —

było jest będzie...
— Co pan umie?
— Nauczono mnie pisać, czytać, rachować...

— Tego nauczono każdego...
— O — przerwałem mu — to nieprawda: dwójka z wiadomości elementarnych!

— Przepraszam pana, ale zdaje się, że pan pragnie u nas pracować, a my bardzo nie lubimy zbyt dowcipnych pracowników... A więc jeszcze raz: co pan umie?

— Marynować grzybki, solić śledzie, ucierać majonez...

— Dobrze. Wobec tego przydzielimy pana do obsługi mikroskopu elektronowego w laboratorium miernictwa mikrostruktur nieorganicznych. Odpowiedz panu?

Przytaknąłem.

— Proszę — oto pana wyposażenie: zszywacz, dziurkacz, linijka czterdziestocentymetrowa, dwa ołówki numer dwa zwykłe, dwa ołówki kopiiowe, gumka myszka, trzy skoroszyty, dwa segregatory, jeden zeszyt w kratkę, jeden zeszyt w linijkę, poduszka do stempli, pieczątki i... liczydło — może pan rozpocząć urzędowanie.

— A szklanka na herbatę, spodek pod szklankę i łyżeczka do mieszania cukru?

— Otrzyma pan po okresie próbnym. Do tego czasu proszę się postarać jak najszybciej zapełnić jeden z segregatorów. Życzę panu powodzenia w pracy.

...było

— ... (Pytanie URZĘDNIKA)
— Tak. (Odpowiada ON)
— ... (Pytanie URZĘDNIKA)
— Tak. (Odpowiada ONA)

— — — — — jest będzie

Wolfganga Amadeusza Mozarta — Symfonia G-moll K.V. 550 — Allegro molto — andante — minueto — finale. Arnolda Schönberga — Ocalały z

Warszawy. Franza Kafki — Amerika — Der Prozeß — Das Schloß — Tagebücher 1910 — 1923. Cypriana Kamila Norwida — Vademecum. Brunona Schultza — Sklepy cynamonowe — Sanatorium pod klepsydrą. Paul Gauguin, Pablo Picasso, Henry Spencer Moore — — — — — (1785 nazwisk, nieco więcej (sumarycznie) imion, 628 9 (6289) dzieł sztuki: literatury, muzyki, malarstwa, rzeźby, architektury teatru, filmu).

było
jest
będzie

Podzielono mi dzień na godziny urzędowania i godziny wolne od urzędowania; na godziny snu i godziny czuwania; na seanse filmowe i seanse kawiarne; na spektakle teatralne i spektakle małżeńskie; na prawo mówienia i obowiązek słuchania. Podzielono mnie bardzo dokładnie i tak precyzyjnie, że aż zagubiłem się w tym podziale bez reszty. Gdyby to moja matka wiedziała! Gdyby to mój ojciec przewidział!! Gdyby umiano mnie teraz na powrót do kupy złożyć???

było
jest

Cisza. Sen zawładnął tymi, którzy powodowali chrobotanie nad sufitem; sen zmorzył muchę, która bzdykała i w nieregularnych odstępach czasowych uderzała o abażur, sen ukoił otwierających drzwi i spuszcających wodę w klozecie. A budzik wciąż czuwa tykając. I ON czuwa jednoznacznie na sposób materii kiedyś ożywionej. Pije kawę i pali papierosy.

było

Kilka dni temu był u adwokata, wniósł sprawę o rozwód. Adwokat powiedział, że będzie go to dość drogo kosztowało.

będzie...

— ... (Pytanie SĘDZIEGO)
— Nie. (Odpowiada ON)
— ... (Pytanie SĘDZIEGO)
— Nie. (Odpowiada ONA)

było jest będzie

— „Pajaki, rząd z gromady pajęczar-

ków. Obejmuje ok. 20 tys. gatunków, dł. od ok. 1 mm do ponad 6 cm; mają głowotułów połączony z odwłokiem tzw. łącznikiem (...) szczegółczułki zakończone pazurkami, w których znajdują się ujścia przewodów gruczołu jadowego, mieszczącego się w głowotułowiu (...) u samca na ostatnim członie mieści się narząd kopulacyjny. Główną cechą odróżniającą p. od innych pajęczaków jest występowanie na końcu odwłoka (z reguły) → kądziolków przednich, których wydzielina zastyga w → pajęczynę, służącą do budowy sieci łownej, mieszkalnej, obudowy kokonu, lokomocji (...)"

Wielka Encyklopedia Powszechna

PWN — 8 — Nomo — Polsc s. 395

— Panie, pan mi tu o pajakach jakieś dyrdymały...

— Proszę zwrócić uwagę na wielofunkcyjność pajęczyny — cytuję: „służąca do budowy sieci łownej” (a co, nie mówiłem?), „mieszkalnej” (no i jak teraz?), „obudowy kokonów” (no proszę!), „lokomocji” (a widzi pan!?)...

— Taaaaak. A więc jest pan niezadowolony, poddaje się pan alienacji, jest pan sfrustrowany, nie podobają się panu założenia naszej polityki...

— A wie pan co, ta... no, przypomina pan ją sobie... przyszła wtedy do mnie — w samej nocnej koszulce przyszła — a pod tą koszulką — he he he...

— Jeśli mi teraz pan powie, że w Turcji wykopano złote trumny, to opowiem panu o tym, w jaki to sposób Zabłocki wyszedł na mydle! Ostrzegam!

— Bardzo pana proszę, niech pan już mi nie opowiada o tym, jak to Zabłocki wyszedł na mydle, a przyrzekam panu więcej nie mówić tego, że w Turcji wykopano złote trumny. Błagam pana.

... (?) ...

— Pani oczywiście nie dochowuje wierności małżeńskiej?

— Pan się myli, młody człowieku...

— Pani ojciec też się pomylił, a nie czynię pani z tego powodu wyrzutów... a propos, słyszała już pani o tym wypadku na ulicy...

— Figlarz z pana!

było

będzie... (albo jest)

jest

Ujęcie 147

ON i ONA całują się czule.

(Kamera dwukrotnie przesuwa się wzdłuż splotów ich uścisku a następnie kieruje się na przyozdobiony maszkaronami portal, na którego szczycie usadowiła się parka gruchających gołębi).

Klaps.

... było

— Nie jestem dziś przygotowany do lekcji — bolała mnie głowa...

— Dwója! Siadaj ośle!

— Panie Psorze — ale mnie naprawdę bolała głowa — miewam migreny.

— Kowalski.

— Ciałożanurzonewicieczytracipozornie tylenaswoimcieżarzeilewnosicieżarcieczyprzeztociałowypartej.

... było (?) będzie...

Coraz mniej mieszczę się w sobie, gdyż coraz więcej zgromadziło we mnie. Nauczono mnie wielu niezbędnych i jeszcze więcej zbędnych rzeczy. Ograniczono mój czas i poszerzono moje obowiązki. Zagracono moją pamięć, załudniono mi przetrzeń. A kiedy — (było to chyba któregoś dnia w maju) — akurat padał ulewny deszcz — chciano sporządzić remanent, ON do tej czynności był nie przygotowany — spis wykazał znaczne niezgodności, sięgające astronomicznej liczby zarówno niedoborów pewnych asortymentów i superaty

innych. Został więc usunięty ze zajmowanego stanowiska, a sprawę jego skierowano prawnie na właściwą drogę. Został przesłuchany przez biegłych w rzeczy jego dotyczącej, a wówczas okazało się, że kiedyś, w zamierchłej przeszłości, oblał ważny egzamin, co starannie przez wiele lat ukrywał; że w aferę tę wmieszane są i inne osoby, między innymi rodzice, rodzeństwo, jego była żona, jego potomstwo, kilku przyjaciół po fachu, kilka przyjaciółek — i pewna ściśle określona dziewczyna — ze względu na dobro sprawy, nie podajemy jej nazwiska — co zresztą dla obwinionego nie stanowi okoliczności łagodzących — wręcz przeciwnie — dodatkowo obciążających jego kartotekę; i wobec tego zastosowano itd.

było — — — — — będzie

23 maja: Decyzją Rady (...)

25 maja: Ob. (...) nie stawiał się (...)

1 czerwca Ob. (...) został usunięty (...)

— — — — — jest — — — — — (albo jest będzie).

Jest pokój w całej swojej dwuznaczności, nieprzetłumaczalnej na inne języki.

Jest noc jednoznaczna w swojej ciemności.

TYLKO BUDZIK CZUWA
TYKAJĄCO.

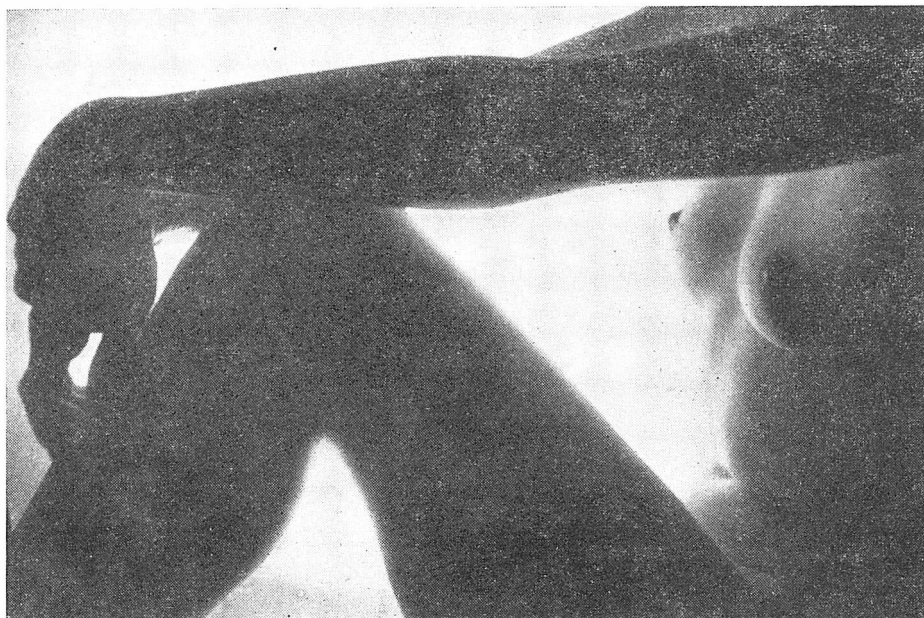
postscriptum — czyli: ... było
jest będzie

Jest godzina 1.52 — jutro ON musi stawić się na godzinę ósmą do pracy — dyscyplina obowiązuje wszystkich — bez wyjątków. Wobec tego przeprasza P.T. OBYWATELI za (nie)po(s)pelnione winy.

ERNEST DYCZEK



panna
pola



Fot. J. Olek

Wydaje Politechnika Wrocławska. Adres Redakcji: Wrocław, Wybrzeże Wyspiańskiego 27, pok. 309, tel. 270-51 w. 240 (pocztą wewnętrzną: P9/S). Redaguje zespół w składzie: SŁAWOMIR HULANICKI, FRANCISZEK ŁĘTOWSKI, JERZY MACKOWIAK, MAŁGORZATA MICHAŁAK, JAN OSIŃSKI (naczelný redaktor), ANDRZEJ PELECH (z-ca redaktora naczelnego), ANETA SZATAN, STANISŁAW SZULC, MARIA WOJCICKA (sekretarz redakcji). Opracowanie graficzne: ZDZISŁAW WOJCICKI przy współpracy Andrzeja Maleszki. Druk: WDN — Wrocław zam. 551/71 nakład 2000 form. A-4 K-15. Cena zł 2,—

